



KWARTALNIK GÓROWSKI

lato
(6/2004)

Towarzystwo Miłośników Ziemi Górowskiej



SPIS TREŚCI

Hans Klapper: <i>Cechy miasta Góry w latach 1300-1900. (cz. I),</i> tł. Antoni Czerwiński, wstęp i przypisy Elżbieta Maćkowska	s. III
<i>Kościół ewangelicki w Ryczeniu, powiat Góra.</i>	
H. Anlauf: <i>Die evangelische Kirche zu Rützen, Kreis Guhrau.</i> „Guhrauer Kreiszeitung” 2001 nr 4 s. 14, tł. Jadwiga Wawryszczuk	s. X
Zofia Hanulak: <i>Ocalić od zapomnienia – Józef Bare’a</i>	s. XIII
Karina Chochowska, Elżbieta Chomicz, Wioletta Szostak,	
Joanna Zaremba: <i>Coś się kończy, coś zaczyna... (cz. II)</i>	s. XVI
Mirosław Żłobiński: <i>Drużyna Stanisława Hoffmanna</i>	s. XXXI

W drodze do czytelnika

Zofia Hanulak: *Jakub Korthals*

Jakub Korthals: *Wiersze*

CECHY MIASTA GÓRY W LATACH 1300-1900. (cz. I)

W kolejnych wydaniach „Kwartalnika Górowskiego” zamieszczać będziemy fragmenty książki H. Klappera, wydanej w 1936 r. na temat górowskich cechów i rzemiosła na przestrzeni sześciu wieków. Tak szczegółowe opracowanie tego zagadnienia nie ma sobie równego w języku polskim, bowiem żaden z historyków nie pokusił się o analizę rozwoju gospodarczego Góry. Warto prześledzić losy miasta i jego mieszkańców od strony ekonomicznej, wszak o jego zasobności i znaczeniu świadczy nie tylko przynależność polityczna, ale przede wszystkim status gospodarczy.

WYKAZ ŹRÓDEŁ I ICH OCENA.

Historia górowskiego rzemiosła i górowskich cechów nie doczekała się dotąd szczegółowego opracowania. Pomijając kilka dokumentów cechowych, jakie tu i ówdzie znaleziono i w miejscowej prasie opublikowano¹ oraz skąpe wzmianki w „Historii miasta Góry” Zioleckiego, dotychczas nie ogłoszono drukiem żadnych materiałów traktujących o rozwoju i znaczeniu górowskich cechów. Relacje Zioleckiego nie są poparte w wielu przypadkach podaniem źródeł, tak że właściwie dla celów naukowych nie można ich użytkować. Autor pobieżnie potraktował stosunki polityki wewnętrznej, podstawy oraz warunki gospodarcze rozwoju miasta, natomiast gruntownie i szeroko omówił i przedstawił zewnętrzne wydarzenia (jak spory lenne, wojny itp.). Właściwa historia miasta błędnie w ogólnym ujęciu historii księstwa głogowskiego i Śląska.

„Historia miasta Góry od jego początków aż do roku 1801” D. Rangego przynosi wartościowe dane statystyczne (zwłaszcza dotyczące roku 1800), jak również kilka informacji o wieku cechów. Jeśli chodzi o opublikowanie starych dokumentów cechowych w miejscowej prasie, to trzeba stwierdzić, że do wykorzystania nadają się jedynie ich drukowane teksty, podczas gdy załączone przez wydawców dane o znaczeniu, wieku itp. tutejszych cechów zawierają masę błędów. Natomiast podkreślić należy rozprawę na temat przywileju górowskich sukienników z roku 1304, napisaną przez G. Cronna²

Ogólna przyczyna braku dokumentów leży m.in. w małej trosce cechów wykazywanej przy przechowywaniu swoich starych statutów i przywilejów, kiedy znikala ich prawna wartość. Jeszcze pod koniec ubiegłego stulecia cechy nie zdawały sobie w pełni sprawy z wartości swych zabytków. Jest ogólnie wiadomo, że wówczas masowo sprzedawano za niską cenę skrzynie cechowe wraz z całą zawartością. W ten sposób sprzedał swoją skrzynię cech krawców, która obok dokumentów zawiera także puchary, kielichy itp.

Zasadniczą przyczynę zagubienia pism i przedmiotów starych górowskich cechów widzieć jednak należy w zamieszkach wojennych, epidemiach dżumy i pożarach miasta, które nawiedziły Górę. Wojna 30-letnia wyludnia miasto prawie całkowicie, w roku 1656

¹ Górowski Dziennik Powiatowy – przy. E.M.

² *Ein Tuchmacherprivileg für Guhrau vom Jahre 1304. Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens Bd. XLIV Breslau 1910 s. 254-256 – przyp. E.M.*

szalała dzuma, tak że w ciągu 8 dni wymarli prawie wszyscy piekarze i piwowarzy, trzykrotnie Góra ulegała wielkim pożarom, ostatnio w roku 1759. W czasie tego pożaru spłonął także kościół bracki³ w którym sukiennicy przechowywali swe kosztowności cechowe. Z początkiem XIX w. zebrano wszystkie stare dokumenty górowskie ocalałe z pożaru w r. 1759 i przewieziono do komory⁴ w Głogowie, ale w czasie pożaru mieszkania urzędnika komory padły pastwą płomieni.

Prawie wszystkie zachowane skrzynie cechowe pochodzą z nowszych czasów i nie sięgają poza XVII wiek. Znajdujące się w nich dokumenty nie dotyczą prawie zupełnie dawniejszych czasów, księgi protokołów zawierają tylko relacje o przyjęciu na mistrzów, o oswobodzeniu na czeladników itp. i sięgają zaledwie połowy XVIII w. Przy omawianiu poszczególnych rzemiosł podane będą wiadomości o zachowanych dotychczas dokumentach i skrzyniach cechowych.

Jako drugie źródło wchodzi w rachubę księgi miejskie. Niestety i tu najstarsze księgi przepadły, zachowane sięgają (z wyjątkiem 2 tomów) połowy XVI stulecia. Szczególnie dużo materiałów o cechach zawierają księgi pochodzące z okresu po roku 1600. Państwowe Archiwum we Wrocławiu przechowuje większą ilość starych dokumentów górowskich, ale dokumenty te bardzo rzadko dotyczą cechów. Na uwagę zasługują odpisy dokumentów sporządzone około r. 1600 zawierające m.in. przywileje rzemiosła pochodzące z XIV i XV w. – są jednak napisane na luźnych kartkach i nieuporządkowane. Z wymienionych źródeł najwięcej materiału zawierają Księgi Miejskie i te również wykorzystano do niniejszej pracy. Znajdują się one, z wyjątkiem dwóch najstarszych (Archiwum Państwowe we Wrocławiu) w górowskim archiwum radzieckim.⁵

I. POWSTANIE I ROZWÓJ CECHÓW

1.1. Powstanie miasta

Nazwa miejscowości Góra pojawia się po raz pierwszy w roku 1155, w bulli papieża Adriana IV (Hadriana IV), który wymienia imiennie wszystkie kasztelanie leżące na granicach biskupstwa wrocławskiego i stąd pojawił się Sądowel pod Górą. Nazwa Góra nie dotyczyła wówczas dzisiejszego miasta o tej nazwie, lecz wsi położonej na południowy zachód – obecnej Starej Góry. Miasto powstało dopiero w ciągu XIII wieku dzięki napływowi niemieckich osadników z zachodu. Lokalizacja niewielkiego miasta wśród rolniczej okolicy była właściwa i stosunkowo pomyslna, gdyż odległości do najbliższych miast Wschowy, Głogowa, Ścinawy, Wołowa i Wińska były mniej więcej jednakowe. Gdy przeprowadzi się linię łączącą na mapie Wąsosz i Wschowę, to Góra leży prawie dokładnie w środku tej linii. Było więc pod dostatkiem wolnej przestrzeni dla utworzenia nowego obwodu miejskiego. W Bulli papieża Innocentego IV z roku 1245 znajduje się zdanie „villa Gora cum pertinentis suis” – w ten sposób określono nowe osiedle w pobliżu starej wsi Góra.

³ Kościół należący do Cechu Sukienników przy ul. Kamiennej, dzisiejsza ul. Wrocławska – przyp. E.M.

⁴ Komora celna inaczej graniczny urząd celny – przyp. E. M.

⁵ Archiwum Rady Miejskiej – przyp. E.M.

Ze wzrastającą liczbą niemieckiej ludności⁶ kasztelania sądowelska traciła swoje znaczenie, a obydwie miasta na niemieckim prawie, Wąsosz na wschód i Góra na zachód od starej kasztelanii, stały się ogniskami nowo powstałych obwodów, a tym samym miały podstawę, by stać się miejskimi ośrodkami handlowymi i sądowymi. W obu przypadkach założenie miasta przypada około roku 1290. Dokument z roku 1288/1289 wymienia po raz pierwszy wójta i ławników z Góry. Góra otrzymała prawa miejskie od Głogowa, Głogów mniej więcej pół wieku wcześniej otrzymał prawa od Wrocławia⁷. Nie ma niestety dokumentu założenia miasta⁸ nawet dokładniejszych dat założenia nie da się ustalić.

Powstałe miasto otrzymało nazwę od graniczącej z nim wsi (obecna Stara Góra), jak to zresztą było i z innymi miastami śląskimi. Nie chodzi tu jednak o rozbudowę już istniejącego osiedla wiejskiego, lecz o planowe osiedle miejskie, o czym zresztą świadczy choćby zarys osady. W roku 1300 Góra otrzymuje przywilej targu: w tym samym roku wystawione zostały ławy rzemieślników. Obwód miejski Góra otrzymała w roku 1310.

1.2. Powstanie cechów

Ziolecki słusznie przypuszcza, że wkrótce po założeniu miasta zorganizowały się w Górze cechy rzemieślnicze, nie zajmuje się jednak bliżej tą sprawą. W 1300 r. Góra otrzymuje prawo targu (oryginał dokumentu w Państwowym Archiwum we Wrocławiu). Choć dowody pisemne stwierdzają istnienie cechów dopiero pod koniec XIV w., to jednak należy przypuszczać, że już wcześniej, mianowicie w pierwszej połowie tego stulecia istniało w Górze kilka cechów. Przypuszczenie to opiera się na następujących podstawach. W roku 1304 został nadany sukiennikom górowskim przez księcia Henryka śląskiego i pana Głogowa przywilej krawiectwa odzieżowego. Na podstawie tego prawa sukiennicy mogli wyprodukowane przez siebie lub zakupione sukno krajać i sprzedawać w kawalkach, co zwykle przysługiwało tylko kupcom i kramarzom. Oryginał dokumentu przepadł, zachował się odpis wg pisowni z końca XVI wieku. Ważne jest przede wszystkim to, czy z treści tego dokumentu można wyciągnąć wnioski o istnieniu cechu. „Z faktu, że ogół tkaczy otrzymał monopol sprzedaży i opierając się na wiadomościach, jakie posiadamy o najstarszych cechach śląskich, możemy wyciągnąć pewny wniosek, że ci tkacze tworzyli właściwy cech mający monopol produkcji sukna” (Croon, Ein Tuchmacherprivileg für Guhrau vom Jahre 1304). Z nadania przywileju z roku 1304 wynika niedwuznacznie, że sukiennictwo górowskie musiało być już znaczne. Dalej należy uważać, że sukiennicy tak łatwo tego prawa nie otrzymali, lecz musieli zapewne gorliwie o nie zabiegać. I to przemawia również za tym, że istniał już wtedy cech, gdyż trudno przyjąć, że otrzymaliby to prawo, gdyby nie występowali jako zorganizowana społeczność cechowa.

W dokumencie z roku 1306 Henryk, książę Śląski i pan Głogowa nadaje miastu Góra prawo karania śmiercią. Godny uwagi jest zwrot w tekście *na zarządzenie rajców i przysięgłych*. Decydujące jest pytanie, kim byli ci przysięgli? Jest wysoce prawdopodobne,

⁶ Autor się myli – przyczyną upadku kasztelanii w Sądowlu były zmiany administracyjne spowodowane m.in. niekorzystnym położeniem grodu, patrz E. Maćkowska: *Dzieje Góry i okolic od czasów najdawniejszych do roku 1508*. Zielona Góra 1998 s. 38 – maszynopis

⁷ W roku 1253 – J. Chutkowski: *Dzieje Głogowa*, t. 1 Legnica 1991 s. 44 – przyp. E.M.

⁸ Akt lokacyjny nie zachował się – przyp. E.M.

że byli nimi cechmistrze. Wyrażenie to mogło też odnosić się do innych osób również zaprzysiężonych radzie np. do ławników.

Większe znaczenie dla stwierdzenia organizacji rzemieślniczych w Górze ma dokument z roku 1326. Wymienia on jako świadków: Werner prolocutor, Mikołaj institor (kramarz, handlarz); Marcin carnifex (kat, oprawca) et alii omnes in eodem consilio constituti. Institor i carnifex oznaczają bez wątpienia zawody tych świadków. Tym samym jest to pierwszy dowód, że w górowskiej radzie zasiadali rzemieślnicy. Można również przypuszczać, że Marcin carnifex wszedł do rady jako przedstawiciel carnificum, jak Mikołaj jako przedstawiciel kramarzy. O ile to przypuszczenie jest słuszne, to można by wyprowadzić z niego prawdopodobieństwo istnienia w Górze cechu rzeźników.

1.3. Pierwsza wzmianka o górowskich cechach

Pierwszą pewną wiadomość o istnieniu w Górze cechów zawiera najstarsza Księga Miejska w zapisie z roku 1389. W nim po raz pierwszy wymienia się obok burmistrza i rajców również „najstarszych” (eidisten). *My, Peczuld Wellmuelnir, burmistrz w Górze, Jorge Cruse, Barutsch Vundkegel, Nicklas Pusenack i Jacob Stuczkegel rajcy podajemy do ogólnej wiadomości, że za radą najstarszych naszego miasta postanowiliśmy...* Pod określeniem „najstarsi” należy rozumieć mistrzów cechowych. W roku 1389 istniało już kilka cechów. O które cechy chodzi, można wnioskować z późniejszych zapisów. Już 3 lata później, a więc w roku 1392 znajdujemy zapisy z dokładniejszymi danymi. W dokumentach pojawili się Nickal Kabt, Nicklas Cunrod, Jacob Hohveter, Niclas Ulman. Nie można wątpić, że kolejność tych nazwisk zależna jest od starszeństwa i znaczenia cechów. W późniejszych zapiskach w Księgach Miejskich podawane są obok nazwiska mistrzów także nazwy rzemiosł, jakie oni reprezentowali. Według tego Nickal Kant jest zaprzysiężonym mistrzem sukienników, Niclas Cunrod rzeźników, Jacob Hohveter szewców, a Niclas Ulman piekarzy. To, że wymienieni są czterej przedstawiciele cechów jako członkowie Rady, nie świadczy z późniejszych danych, kiedy rzemiosła były już zupełnie zorganizowane, że w Radzie zasiadali tylko przedstawiciele czterech najstarszych cechów. Z drugiej zaś strony nie można powiedzieć kategorycznie „tak” na to pytanie, gdyż nie ma pewnych dowodów o istnieniu innych cechów w owych czasach.

W roku 1426 wymienia się w zapisie w księdze miejskiej tzw. „wspólnych ludzi”. Wyrażeniem tym określano w XV wieku dość często członków cechu wspólnego, to jest takiego cechu, który skupiał wszystkich kramarzy i tych rzemieślników, którzy nie mieli w mieście własnego cechu. Wymienienie tego cechu w roku 1426 jest o tyle ważne, że na podstawie tego można zakładać istnienie innych cechów, a mianowicie tych rzemiosł, które w późniejszych zapisach wymienia się zawsze przed cechem wspólnym.

Kolejność, w jakiej występują poszczególne cechy danego miasta nie jest w żadnym wypadku dowolna, lecz odpowiada porządkowi, w jakim one występowały przy uroczystościach i wskazuje na powagę i wiek danego cechu. Takie wyliczenie cechów, które może służyć jako klucz do oznaczania ich wieku znajduje się w dokumencie z roku 1457, w którym wprawdzie wymienia się tylko 7 cechów (z każdego 4-5 przedstawicieli), mianowicie sukienników, rzeźników, szewców, piekarzy, kuśnierzy, krawców i kowali. O tym, że to nie wyczerpuje istniejących w roku 1457 cechów w Górze, możemy

wnioskować z tekstu, który następuje po tym wyliczeniu *i inni zawni najstarsi, przysięgli mistrzowie, cechmistrzowie i całe bractwo*. W roku 1597 cechy umieszczają swe pieczęcie na dokumentach Rady, m.in. w dokumencie, w którym stany ziemskie górowskiego obwodu proszone są o utrzymanie przywilejów i poparcie publicznego dobra. Kolejność pieczęci i podpisów jest następująca: do 7 wyżej wymienionych cechów dochodzą bednarze, stolarze, cieśle i kołodzieje, garncarze, płóciennicy. Pomiedzy ostatnimi pieczęciami jest zostawione wolne miejsce, gdzie umieszczono uwagę *to dla bractwa, które nigdy nie miało pieczęci*, pod spodem podpis *Hans Eychhorn za Bractwo*. Zioblicki uważa, że chodzi tu o gminę kościelną. Jest to jednak wysoce nieprawdopodobne. Bardziej właściwy wydaje się pogląd, że Hans Eychhorn jest tu przedstawicielem wspólnego cechu, który zawsze występuje przy wszystkich wyliczeniach i podpisach cechów. Dla ustalenia wieku opartego na stałej kolejności, w jakiej występują cechy, kwestia ta ma doniosłe znaczenie. Cech ten nie miał własnej pieczęci, a świadczy o tym fakt, że w kilku zachowanych dokumentach sprzed 1597 r. cech używał pieczęci miejskiej, prawdopodobnie właśnie z braku własnej. To, że kolejność wymieniania cechów odpowiadała ich wiekowi, dowodzi, że w r. 1426 istniało 10 następujących cechów: sukienników, rzeźników, szewców, piekarzy, kuśnierzy, krawców, kowali, bednarzy, stolarzy, kołodziejów i stelmachów, garncarzy oraz cech wspólny.

Oprócz dotychczas omówionych cechów było w Górze jeszcze kilka innych, ale istniały tylko przejściowo. Nie pytano ich nigdy o zdanie w sprawach Rady, jak również ich wpływ na życie gospodarcze miasta był zawsze ograniczony. Warto jednak w kilku zdaniach je omówić.

Cech słodowników został założony w r. 1478. Na przestrzeni czasu znalazło się o nim tylko kilka wzmianek w Księgach Miejskich. W roku 1673 zostały ponownie zatwierdzone prawa i przywileje tego cechu. O cechu słodowników wspomina się ponownie w r. 1681, w roku 1688 Rada wydaje „Dekret dla cechu słodowników” z powodu złego i „grubego” piwa. O tym, że cech ten po pewnym czasie został rozwiązany, aby w kilka lat później ponownie powstać, możemy wnioskować z zapisu z roku 1661, z którego dowiadujemy się, że Rada wystawiła świadectwo nauki terminatorowi, *gdyż cech słodowników do tej pory jeszcze się nie zorganizował*.

Wśród mieszczaństwa cech ten był mało poważany. Utrzymywały się różnice pomiędzy słodownikami a innymi rzemieślnikami. We wstępie do statutu cechowego z r. 1673 wyrażono główny cel, dla którego powołuje się do życia cech, a mianowicie dla zmniejszenia niebezpieczeństwa pożarów, gdyż bardzo często przyczyną pożarów było palenie słodu. Dokumenty cechu ani też lada cechowa nie zachowały się.

Cechem, który również po krótkim istnieniu trzeba było rozwiązać, był cech kapeluszników. Również i to rzemiosło nie miało nigdy w Górze znaczenia. Nawet w krótkim okresie istnienia było w mieście nie więcej niż czterech majstrów, najczęściej tylko trzech. Cech otrzymał statut w r. 1549, istniał jednak już od kilku lat, bowiem Rada komunikuje, że *zawsze tu, zwłaszcza w r. 1549 i dłużej przedtem istniał tu dziwaczny cech kapeluszników*. W r. 1647 cech jeszcze funkcjonował, ale wkrótce uległ rozwiązaniu. Po 20 latach przynależności górowskich majstrów do glogowskiego cechu kapeluszników, tutejsi chcieli ponownie powołać swój cech (rok 1667). Doszło wówczas z tego powodu do zatargu z glogowianami. Cechy nadrzędne niechętnie zwalniały zapisanych do nich

zamiejscowych mistrzów i próbowały wszelkimi sposobami czynić im trudności ze względu na tendencje zmierzające do posiadania cechów silnych, które nie potrzebowałyby obawiać się konkurencji obcych cechów. Poza tym cechy te nie chciały tracić składek zamiejscowych mistrzów.

Niewiele wiadomości posiadamy o cechu murarzy. Ze względu na ważność tego rzemiosła można przypuszczać, że zdobyło ono dość wcześnie większe znaczenie i w Górze. Cech miał otrzymać swój statut w roku 1560... Kilka danych o cechu murarzy zawiera Księga Miejska z roku 1688/9. Wówczas murarze chcieli się oderwać od cechu glogowskiego i założyć swój własny cech. W r. 1660 musiał jeszcze taki cech w Górze istnieć, gdyż ostatnie dokumenty opiewają na rok 1660. Wydaje się, że rozwiązanie cechu nastąpiło w roku 1681. W tym roku przeniesiono ładę tego cechu do ratusza. (Był taki zwyczaj, że lada rozwiązywanych cechów przechowywano w ratuszu). W r. 1688 powołano do życia na nowo cech, zatwierdzone zostały stare artykuły z niewielkimi zmianami. Chorągiew cechu nosiła napis „*Niech żyje nasze rzemiosło. Rzemiosło murarzy Góry*”.

Cech siodlarzy miał podobną historię jak cech murarzy. W innych miastach siodlarze łączyli się najczęściej z rymarzami w jeden cech. Należy przyjąć, że podobnie było i w Górze. Wiadomości są bardzo skąpe, jedynie Księgi Miejskie z lat późniejszych zawierają kilka danych. W r. 1586 górowscy majstrowie należeli jeszcze do cechu nadrzędnego w Głogowie. Najprawdopodobniej rokiem założenia jest rok 1594. Cech ten nie istniał jednak długo, gdyż z zapisów w Księdze Miejskiej z r. 1680 wynika, że górowscy siodlarze nie mieli własnego cechu i znów należeli do cechu w Głogowie. Ponownie cech ten powstał w Górze w r. 1681. Potwierdza to zapis w Księdze Miejskiej *wydano siodlarzom ładę cechową z ratusza i doręczono*. Z okazji wystąpienia z cechu glogowskiego doszło do sporów, o których informuje Księga Miejska z tegoż roku. Późniejszych zapisów w Księdze o tym cechu już nie ma.

W połowie XIX w. w jeden wspólny cech połączyli się powroźnicy, rymarze, siodlarze i garbarze. Mieli oni jedną wspólną ładę, która zawierała kilka dokumentów rymarzy i siodlarzy. Zachowała się również pieczęć zjednoczonych powroźników, rymarzy, siodlarzy i garbarzy z r. 1855, oraz pieczęć właściwego cechu siodlarzy, bez daty (ok. 1700, wzgl. 1681 r.), nosząca napis *Pieczęć siodlarzy w Górze*.

Stosunkowo późno pojawia się w Górze cech powroźników. Zachowały się tylko luźne kartki jego artykułów, a oryginał przepadł. Zatwierdzone zostały one w r. 1597. Opublikowano je w górowskim kalendarzu z r. 1929. W Księdze Miejskiej z lat 1556-1590 pod rokiem 1587 znajduje się zapis mówiący o cechu powroźników. Pomiędzy pierwszą wzmianką a potwierdzonym statutem leży okres 10 lat. Przez tak długi okres cech nie mógł pozostawać bez statutu. Wydaje się więc, że w roku 1597 chodziło jedynie o ponowne zatwierdzenie statutu, a przyjmując należy, że cech jest znacznie starszy.

Cech łąźników pojawia się w Górze bardzo późno. Łąźnicy należeli do tzw. podejrzanych (mających złą opinię) zawodów, dlatego też nie cieszyli się poważaniem w mieście. Obok czynności związanych z zarządzaniem łąźnią i wszystkim, co z tym się wiązało, trudnili się jeszcze od czasów średniowiecza leczeniem ran i chirurgią, stąd też nazywano ich także chirurgami. Jeszcze dziś spełnia niekiedy tę funkcję łąźnik w małych i odległych wioskach zastępując lekarza przy opatrywaniu ran, co należy

traktować jako resztki dawnych praktyk. W roku 1728, wg Ksiąg Miejskich w Górze był tylko jeden majster tego zawodu, który należał do cechu w Głogowie. Innych wiadomości o tym dziwnym cechu nie ma. W górowskim muzeum⁹ znajduje się pieczęć łaźiebników z r. 1766, nosząca napis *Pieczęć dwulebnych chirurgów w Górze*. Zachowała się także księga protokołów z ubiegłego wieku.

W górowskim muzeum znajduje się także cynowy dzban cechu cieśli, noszący datę 1791. należy przypuszczać, że cech ten istniał znacznie wcześniej, ale nie ma na to dowodów. Ten cynowy dzban i lada z r. 1766 są jedynymi dowodami mówiącymi o funkcjonowaniu takiego cechu w Górze.

Specjalną pozycję zajmuje cech młynarzy. Góra zawsze słynęła między innymi miastami śląskimi z młynarstwa wiatrakowego. Cech młynarzy powstał jednak dopiero w r. 1708. Można oprzeć się na pracy K. Góhlmana¹⁰ Praca jest wyczerpująca, niemniej z uwagi na ważność tego rzemiosła w Górze należy ją uzupełnić. Ponad 22 lata młynarze górowscy walczyli o swój cech. Na posiedzeniu Rady z dn. 14 grudnia 1685 r. debatowano nad podaniem młynarzy w sprawie zorganizowania cechu. Nie była to pierwsza debata, gdyż *należy potwierdzić cech i jego artykuły, co już raz było postanowione..* Dlaczego uchwała nie została wykonana trudno dociec? W każdym razie Rada się wstrzymywała i przeciągała sprawę. Jako powód tego można przypuszczać, że młynarze nie cieszyli się łaskami Rady, gdyż często składano na nich skargi za zachowanie wobec mieszczan, (o żylce złodziejskiej młynarzy mówi niemieckie przysłowie ludowe). Zarzucano im, że mieli w zamkniętych młynach i oszukują klientów w jakości i ilości mąki, że *okradają, za dobre zboże dają mąkę marną i ciemną*. Twierdzenie Góhlmana, jakoby młynarze tak długo nie mieli cechu, bo nie byli do tego zdolni, wydaje się niewłaściwe. Młynarze, obok łaźiebników, należeli do tzw. zawodów „podejrzanych” i to mogło być właściwą przyczyną, dla której tak późno zjednoczyli się w cech, ale trudno twierdzić, żeby w XVII w. była to przyczyna istotna. Wynikało to raczej ze stanowiska Rady. W odmowie wydania zezwolenia powołuje się Rada na zarzut jaki czyni jeden z obywateli młynarzom *młynarz nie jest takim dobrym jako inny mąż czy obywatel* i wyjaśnia sprawę cechu *spełniono by prośbę ich (tzn. młynarzy), gdyby ci zaraz nie wystąpili z prośbą o to, aby w Radzie zasiadali ich starsi i przysięgali na równi z innymi cechami w czasie posiedzeń na ratuszu*. Ostatecznie jednak Rada musiała ustąpić i młynarze otrzymali w dniu 24 kwietnia 1702 r. zezwolenie na zebranie się w celu omówienia statutu cechowego. Po wielokrotnych poprawkach statut został w r. 1707 opracowany, a w r. 1708 zatwierdził go cesarz Józef I.

cdn.

Pierwodruk: Klapper Hans: *Das Zunftwesen der Stadt Gubrau*. Breslau 1936
z języka niemieckiego tłumaczył Antoni Czerwiński
Wstępem i przypisami opatrzyła Elżbieta Maćkowska

⁹ Muzeum mieściło się w budynku dzisiejszego Banku Spółdzielczego przy ul. Bojowników o Wolność i Demokrację – przyp. E.M.

¹⁰ Z dziejów młynarstwa w powiecie górowskim, Góra 1925 – przyp. E.M.



KOŚCIÓŁ EWANGELICKI W RYCZENIU, POWIAT GÓRA

Wiele już powiedziano o związkach kościoła ewangelickiego w Ryczeniu (Rützen) z kościołem w Luboszycy (Herrnlauersitz). Oba kościoły wzniesiono bowiem wtedy, gdy kościoły w Osetnie i Żabinie (Schabenau) po pokoju w 1648 r. stały się katolickie.

Dom Boży w Ryczeniu został zbudowany w 1662 r., jako drugi w parafii luboszyckiej. Mimo że pastor mieszkał w Luboszycy, jego parafia od początku cieszyła się dużą samodzielnością – dla Ryczenia prowadzone były szczegółowe księgi kościelne. Jest zadziwiające, jak doszło do znaczenia Ryczenia jako miasta powiatu ryczeńskiego. Ryczeń leży na skraju prastarej doliny Odry i Baryczy, w połowie drogi pomiędzy Górą (Guhrau) i Chobienią (Köben). Z jednej strony płytka Barycz dzieli swój nurt i otacza wydłużoną wyspę rzeczną. Z obu stron wyspy woda nie jest głęboka, tak że można przez nią swobodnie przejść. Powyżej mostu później wybudowanego znajdowała się mało wykorzystana stara mielizna. Kiedy powstało tutaj osiedle nie można dokładnie określić. Nazwę miejscowości wyjaśnia się na podstawie starego słowa „ricin” co oznacza suszę lub suszarnię. Być może były tutaj kiedyś wielkie rozszarnie i od tego osiedle otrzymało swą nazwę.

Patronat nad kościołem mieli baronowie von Roth, którzy byli właścicielami dóbr ryczeńskich. Ostatnia baronówna von Roth zawarła związek małżeński w 1760 r. z hrabią Johannem Heinrichem Casimirem von Carmer (Friedrich von Roth Ryczeń nabył w roku 1685 od barona H. A. von Posadowskyego. Z kolei jego wnuk Hans Friedrich von Roth nie miał męskiego potomka, jedną z córek wydał za mąż za J.H. C. von Carmer z Osetna i stąd dobra ryczeńskie znalazły się w posiadaniu rodziny von Carmer).¹¹ Był on założycielem „Śląskiego Zakładu Kredytowego Ziemiańskiego” wspólnie z von Svaretzem, autorem pruskiego prawa krajowego. Za swe zasługi dla kraju został von Carmer powołany przez Fryderyka Wielkiego na stanowisko kanclerza wielkiego. Już podczas zawarcia związku małżeńskiego zostały mu nadane przez koronę pruską dobra ryczeńskie jako lenno. Odtąd hrabiowie Carmer są kolejnymi patronami kościoła w Ryczeniu.

Księgi kościelne datowane są od 1663 r. i podają wiele informacji. Przede wszystkim z rejestracji chrztów i komunii można było się przekonać, że kościół w

¹¹ B. Krzyslak: *Ryczeń, gm. Góra Śląska*. Założenie pałacowe. Poznań 1990 (maszynopis)

Ryczeniu traktowany był jako kościół graniczny, gdyż rejestrowano w nim także uciekinierów. Chrześciana byli tu często przynoszeni z daleka.

W każdą niedzielę gmina ewangelicka świętowała Wieczercę Pańską przy współudziale ewangelików z dalszych okolic. Panowie dóbr rycerskich¹² przybywali na tę uroczystość z całymi rodzinami i ze swoją służbą. Często było ich ponad 20 osób.

Według danych z rejestru kościoła, obok panów wielkich majątków ziemskich, ich wójtów i robotników byli też rolnicy posiadający mniejsze i większe gospodarstwa. Wśród rzemieślników wymienia się młynarzy, kowali, kołodziejów, krawców, szewców, piekarzy, rzeźników. Bardzo rzadko wymieniani są myśliwi.¹³

Do początku XIX w. było w Ryczeniu kilku sukienników, garncarzy i jeden powroźnik. Przy różnych okolicznościach wymieniany był kowal i rusznikarz Laurentz Labwitz. Oznacza to, że rodzina ta cieszyła się wielkim poważaniem przez całe pokolenia.

W położonych w pobliżu Odry wsiach byli też przewoźnicy i żeglarze rzeczni. Rybołówstwo od stuleci aż do czasów obecnych (do 1945 r. – przyp. E.M.) było w posiadaniu rodziny Hainke.

Jedno z pól należących do parafii było określane jako „kotwica na winnicy”. Z tego można wywnioskować, że na południowych zboczach w kierunku Baryczy były założone winnice.

W 1820 r. Ryczeń stał się samodzielną gminą kościelną. Gdy stanęło się na wzgórzach w Chobieni i patrzyło w kierunku Odry, to widziało się pomiędzy sosnowymi lasami i skupiskami dębów wsie należące do parafii, otoczone polami, łąkami i pastwiskami.

Z obu stron Teinitze (dzisiejsza rzeczka Tynica, lewy dopływ Baryczy poniżej Ryczenia – przyp. E. M.) i nad Baryczą rozciągały się naturalne krajobrazy parkowe. Tu gnieździły się czaple, żurawie i w pojedynczych parach czarne bociany. Na zabagnionych miejscach niziny zakładały swe gniazda dropie.¹⁴

Do parafii należały jeszcze oprócz Ryczenia takie wsie jak: Osetno Wielkie (Osten), Niwa, Osetno Małe, Kietlów (Kittlau), Chorągvice (Korangelwitz) i część katolickiej wsi Rogów Górowski (Neuguth). Poza tym kolonie: Rothenhain i Sechshauser,¹⁵ folwark Haide¹⁶ i Bartsch¹⁷ oraz leśniczówka Schwarzworwerk.¹⁸ Ogółem zanotowano 1240 dusz ewangelickich.

Stary, zbudowany z elementów drewnianych kościół (tzw. mur pruski) wymagał naprawy. Było to możliwe, ale z nakładem znacznych środków finansowych. Patronat postanowił więc, że wybuduje nowy Dom Boży. Został on wzniesiony w 1820 r. z cegieł. Kopuła osmiokątnej wieży pokryta była miedzią. Okna były ostrołukowe w

¹² Dobra rycerskie – nazwa wywodzi się ze średniowiecza i dotyczy tych ziem, które znalazły się w posiadaniu rodów z nadania księcia (władcy), objęte były immunitetem zwalniającym ludność od powinności na rzecz księcia (władcy), władza administracyjno – sądowa była w rękach właściciela tych dóbr – przypis E.M.

¹³ Przywilej polowania należał wyłącznie do pana ziem, stąd nie wymienia się myśliwych, raczej byli to gajowi i leśnicy, którzy zarządzali lasami właściciela – przyp.E.M.

¹⁴ Obecnie ptak ten w ogóle nie występuje na terenie Ziemi Górowskiej – przyp. E.M.

¹⁵ Polskie Różany, już nie istniejące oraz mała kolonia przez Kietlowem od strony Osetna Małego – przyp. E.M.

¹⁶ Polski Dzik, już nie istniejący – przyp. E.M.

¹⁷ Za mostem na Baryczy w Ryczeniu, po prawej stronie drogi – przyp. E.M.

¹⁸ Na południe od Osetna Małego wg mapy Flemmings Heimatkarte von Schlesien z początku XX wieku – przyp. E.M.

stylu gotyckim. Wnętrze kościoła składało się z ołtarza, ambony, empory (galeria nad nawą w kościele) i ozdobnych ław. Wszystko było utrzymane w kolorze białym i złotym, co odpowiadało panującemu wówczas klasycyzmowi.

Jeden ze stojących w zakrystii konfesjonałów, wykonany w tym samym stylu, wskazuje na to, że wówczas w użytku były konfesjonały pojedyncze.

W tym samym czasie zabrano się do budowy plebanii – niedaleko kościoła, obok domów dwóch sukienników. Później naprzeciw plebanii wybudowano szkołę. Plebania była z cegieł, jednopiętrowa z poddaszem. Według wielkości i położenia pomieszczeń mieszkalnych i gospodarczych odpowiadałaby dzisiejszym wymaganiom, jakie są stawiane plebaniom wiejskim.

W 1935 r. budynek został od podstaw wyremontowany i przystosowany do aktualnych, ludzkich potrzeb. Bardzo wysokie koszty remontu pokryła ekscelencja hrabina Freda von Carmer z majątku Osetno¹⁹, która przez długie lata miała patronat nad parafią. Umarła w wieku 87 lat i była ostatnią, która 18 lutego 1943 r. została pochowana w mauzoleum Carmerów. Mauzoleum znajdowało się tuż obok kościoła. Na uroczystości pogrzebowe do Domu Bożego w Ryczeniu przybyła większa część ludności gminy i krewni.

Słowo, według którego obchodzono uroczystości pogrzebowe, mogłoby być każdemu dane, gdy prawie 2 lata później 21 stycznia 1945 r. szli w kolumnie na zachód (Psalm 97,11) „Światłość wschodzi sprawiedliwemu i radość tym, którzy są prawego serca”

Pierwodruk: Anlauf H.*: *Die evangelische Kirche zu Rützen, Kreis Guhrau*.
„Guhrauer Kreiszeitung” 2001 nr 4 s. 14
Tł. Jadwiga Wawryszczuk
Do druku przygotowała i przypisami opatrzyła Elżbieta Makowska

¹⁹ Była ona wdową po Fryderyku von Carmer, wnuku J.H.C.Carmera. Hrabia Fryderyk był szambelanem królewskim, uważano go za konserwatystę. Ukończył Akademię Rycerską w Legnicy, służył w II Pułku Huzarów, walczył w wojnie prusko – francuskiej w 1870 r, gdzie odniósł ciężkie rany. Należał również do Zakonu Joanitów, był członkiem Izby Panów i deputowanym do Reichstagu w II poł. XIX w. - przyp. E.M. wg O. Toppel, Góra na przełomie wieków, Świdnica 1901.

* Pastor kościoła ewangelickiego z Ryczenia, posługę duszpasterską pełnił w latach 1935-1945.

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA**JÓZEF BAREŁA**

Jest mieszkańcem Ślubowa od maja 1945 roku. Pytany o datę urodzenia odpowiada żartobliwie, że zawsze mówiono mu, że przyniósł go bocian 3 marca 1911 roku do wsi Wola Malowana w powiecie Radomsko w województwie łódzkim. Ukończył szkołę podstawową, służył w wojsku (5 dywizja Armii Łódź). Z rezerwy poszedł na wojnę. Rozgromiła ich niemiecka armia pancerna koło Wielunia na granicy polsko-niemieckiej i stamtąd trafił do niewoli niemieckiej we wrześniu 1939 r. W oflagu był kilka tygodni i został zabrany do robót w kopalni. W niewoli był pięć lat. W 1942 r. transportem również do robót przyjechała z Kijowa 17-letnia Aleksandra, która została jego żoną.



3 maja 1945 roku wyruszyli do Polski, mogli wybierać kraj zamieszkania, ponieważ byli w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Droga do ojczyzny Pana Józefa była długa i skomplikowana, odbywali ją różnymi środkami lokomocji, pociągiem, końmi, które odebrali im przedstawiciele oficjalnych władz w Głogowie i nic nie pomogło to, że wędrowali z małym dzieckiem. Z Rawicza wyruszyli z całym swoim dobytkiem załadowanym na wózek ręczny w kierunku Góry. Najpierw zatrzymali się w Duchowie, gdzie zajęli dom położony na uboczu, ale bali się w nim spać, spali więc w stodole. W nocy przyszli szabrownicy w asyście milicji, opróżnili dom ze wszystkiego, zostały gołe ściany. W poszukiwaniu innej siedziby dotarli do Ślubowa, bo widać tam było flagi polskie i radzieckie. Z domu rzeźnika dochodziły śpiewy polskie i rosyjskie, tam załatwiali swoje interesy Polacy, a alkohol był najpopularniejszym środkiem płatniczym, za niego zdobywało się wszystko. Ludzie wtedy pomagali sobie nawzajem, chociaż nie brakowało i przelotnych ptaszków, szabrowników, którzy zabierali co cenniejsze rzeczy na handel i wyjeżdżali. Tak w czasie drogi do Polski, jak i już po zasiedleniu żywność trzeba było zdobywać, dla ilustracji podam dwa przykłady: w Głogowie w czasie przerwy w podróży pan Józef znalazł trochę jedzenia, była tam też kiszona kapusta; innym razem żona pojechała do Bełcza wydoić krowy, chociaż o dojeniu nie miała pojęcia, ale mleko było potrzebne, a krowy były pędzone dalej. Na pierwsze żniwa w całym Ślubowie były zaledwie 3 konie i kilka wołów, które później zabrało wojsko. Pola były poobsiewane, ale ich zarządcami byli Rosjanie, poszli więc do komendanta, który dał im 14 hektarów żyta do skoszenia. Pan Józef zdobył snopowiązałkę, sznurek i w kilku ruszyli do pracy. Powiadomiono ich o tym, że soltys zarządził, że wszyscy mieszkańcy wsi mają dostać po równo zboża, podzielili więc to co skosili między wszystkich. Dość wcześniej założono w Ślubowie spółdzielnię produkcyjną, do której zapisali się za wyjątkiem jednego rolnika wszyscy, ale nie wszyscy chcieli na wspólnym pracować. Często zmieniali się kierownicy, ale poprawy nie było. Pan Józef szefem spółdzielni był przez 3 lata i wtedy właśnie to

gospodarstwo było najlepsze na całym Dolnym Śląsku. Po październiku 1956 roku członkowie spółdzielni podjęli decyzję o jej rozwiązaniu.

Ziemię żywicielkę zawsze traktował z szacunkiem, potrafił tak planować uprawy, by to co wyrosnie było potrzebne i by dawało satysfakcję materialną rodzinie. Dowodem na to, że tak było są dyplomy uznania za:

I miejsce w gromadzie w konkursie na najlepsze gospodarstwo roku 1967;

Długoletnią i ofiarną pracę w rozwoju produkcji roślin okopowych – 1975;

Długoletnią i owocną pracę w podnoszeniu kultury uprawy buraka cukrowego;

Wysokie wyniki w produkcji roślin oleistych oraz aktywną działalność społeczną w Związku Plantatorów Roślin Oleistych – 1978;

Rzetelną ofiarną i zaangażowaną pracę w rozwoju społeczno-gospodarczym kółek rolniczych – 1982;

III miejsce w konkursie Mistrz Produkcji Zwierzęcej – w kierunku produkcji bydło mleczne – 1979.



Praca na roli to podstawowa pasja Pana Józefa, ale życie oprócz obowiązków musi dostarczać też przyjemności, taką sprawiał mu polowanie, był członkiem myśliwskiego koła „Dzik” w Wąsoszu. Od samego początku związany jest z partiami ludowymi, najpierw było to Stronnictwo Ludowe, później Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. Brał udział we wszystkich kongresach jako delegat, pełnił odpowiedzialne funkcje z wyboru we władzach powiatowych, wojewódzkich i centralnych. Miał propozycje etatowej pracy w KW ZSL w Zielonej Górze i Wrocławiu, ale pod wpływem żony odmówił, wybrali to, co kochali – pracę na roli. W latach 1966-1975 był radnym Powiatowej Rady Narodowej, był też radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu i Lesznie W początkowym okresie, kiedy Rudna była gminą, był przewodniczącym GRN. Brał udział w

Kongresie Pokoju i Krajowym Zjeździe TPPR. Był członkiem ZBoWID-u, pracował aktywnie w strukturach Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Górze.

Ukoronowaniem społecznej działalności był Jego wybór na posła w roku 1976, gdzie godnie reprezentował interesy Ziemi Górowskiej w Sejmie VII kadencji.

Na swoje 75 urodziny otrzymał listy gratulacyjne od prezesa WK ZSL w Lesznie Stanisława Koronowskiego i Wojewody Leszczyńskiego Bernarda Wawrzyńskiego

z podziękowaniem za to, że przyczynił się do rozwoju społeczno-gospodarczego jako rolnik, radny i poseł oraz z życzeniami z okazji pięknego jubileuszu.

Za zaangażowanie w życie Najbliższej Ojczyzny otrzymał następujące wyróżnienia i odznaczenia:

Medal Pamiątkowy XV-lecia Powrotu Ziemi Górowskiej do Macierzy;

Zasłużony dla Ziemi Górowskiej;

Za Zasługi dla Województwa Leszczyńskiego;

Medal 30 i 40-lecia PRL;

Odznaka 1000-lecia Państwa Polskiego;

Medal Pamiątkowy 100-lecia Cukrowni w Górze;

Odznaka Wincentego Witosa;

Medal XXV-lecia Odzyskania Dolnego Śląska;

Brązowy i Złoty Krzyż Zasługi;

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski;

Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Wspomnieć również wypada o tym, że był sołtysem w Ślubowie i wielokrotnym uczestnikiem Centralnych Dożynek w Warszawie i Krakowie; wystawcą swoich plonów na ogólnopolskich wystawach, w tym i tak modnej w czasach Chruszczowa kukurydzy, która zdobyła I miejsce w Polsce, a agronom, otrzymał nagrodę, którą był motocykl.

Od wielu lat przebywa na rolniczej emeryturze. Trudy życia wycisnęły swoje piętno, ale pogody ducha i radości życia pozazdrościć może Mu wielu malkontentów.

Zofia Hanulak



COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ ZACZYNA... (cz. II)

ZAKORZENIĆ SIĘ

Jak się okazało tułaczka przesiedlonych nie zakończyła się wraz z przekroczeniem granic Polski. Często ludzie przemieszczali się w poszukiwaniu domów dla siebie i swoich rodzin. Zastanawiającym jest brak zainteresowania dalszym losem repatriantów ze strony kogokolwiek. Ludzi byli zdani na samych siebie.

Przedstawia to historia PETRONELI GŁUSZKO:

„Myśmy jechali na Wolsztyn. Przyjechaliśmy do Kluczborgu i zamiast jechać na Wolsztyn, to na Wołczyn przywieźli. Wyszadzili nas na rampie, a to już było zajęte. W Wołczynie wszystko, my poprzychodzili, takie o domki i wszędzie plomba z napisem PUR – Polski Urząd Repatriantów. Napisane i plomba, i kartka, że zajęte, zajęte. Licho wie czy zajęte, czy dla swoich. No i my tak po wsiach dopiero zaczęli szukać.

Tam było dużo najechane z centralnej Polski. My byli repatrianci, a ci osadnicy z Polski, od Będzina. Jak przyszło spłacać, że my nie mieli spłacać, a oni płacić, to dużo wyjechało z powrotem do Polski.

Myśmy przyjechali któregoś maja i jeszcze my ziemniaki sadzili, chociaż nie wiedzieliśmy, czy będziemy je zbierać.”

W przypadku pani GŁUSZKO sytuacja przedstawiała się niezbyt ciekawie. Tam gdzie przez pomyłkę przyjechali, nie było już wolnych miejsc. Musieli więc, w czym nie byli odosobnieni, dzielić mieszkania z pozostałymi jeszcze Niemcami:

„My tam źle trafili, bardzo. Nas no parę rodzin i tak nas już dali do Nienca, bo tam było już pozajmowane. A tu było pusto, to można było wybrać co chcesz. W jednym domu my z Niemcami mieszkali. Nas dali do Nienca pierw. Niemiec dał nam jeden pokój, taki duży, więcej nic. Później przyjechał jakiś Polak, miał tam zebranie i do Niemców agitował: >A czego oni będą wyjeżdżać, a to ich rodzinny kraj<, żeby podpisać obywatelstwo, żeby zostać. Dużo podpisało i my musieli się zabrać. Dużo takich było. Popatrz się i to Polak !...

A dużo nie chciał. Dużo pojechało Niemców. Nie chcieli, jednak wyjechali. Nasz był stary, pisał się Handke, ten został.

Żeby byli powiedzieli, wytłumaczyli, gdzie my jedziemy...”

Wspomina także jeden z przykrych incydentów jaki miał miejsce podczas poszukiwania nowego domu:

„Już w Kluczborgu, to tak jeszcze jeździli, szukali. Już w takich osobowych wagonach. Jedna kobieta, duma, przywiązała kózę do nogi i siedziała na dachu. I na którejś stacji koza szarpnęła, zeskoczyła. Kozie nic, ale ona się zabiła.”

Postawa samych Polaków także była obojętna wobec przybyłych. Nie mogli liczyć nawet na swoich rodaków.

Z bardzo nieprzyjemnym przyjęciem spotkała się CZESŁAWA OBERTYŃSKA:

„Jak już nas zawieźli do Pleszewa koło Krakowa to liczyliśmy się z tym, że to rzeczywiście ziemię polską, że tu pozostaniemy. Ale skąd!... Zaraz mówili nam, że uchodźcy nie mają tu po co zostawać. Chcieli, żebyśmy jechali dalej. Polacy nie chcieli nas brać do siebie, bo to wielka odpowiedzialność! Dać ludziom mieszkania, pracę. Więc ruszyliśmy dalej do Krakowa. Wszyscy mówili nam tak:

Co wy tu macie do szukania... Jedźcie dalej!

Postaliśmy tak kilka dni, aż temu maszyniście dali bimbru, bo inaczej nie chciały jechać. Stały na uboczu, nic nie mogliśmy zrobić. I wyobraźcie wy sobie, że z tego Krakowa jechaliśmy kilka dni. Przyjechaliśmy tutaj na zachód. Skierowali nas na te tereny."

Inaczej potoczyły się losy JANINY CHANĀKO. Nie mogła, jak chciała, pozostać w Elblągu. Do dalszej tułaczki zmusiły ją dawniejsze powiązania z partyzantką polską.

Tak to pamięta:

„26 maja 1946 zobaczyłam Polskę z wagonów towarowych. Później dowiedziałam się, że jesteśmy w Elblągu. Zamieszkałam w jednym z mieszkań pani Stasiiewicz z Warszawy, przydzielonym mi przez PUR. Na dole domu była mała gospoda, w której zaczęłam pracować razem z kuzynką pani Stasiiewicz Haliną i ich znajomą Maglą. Zaraz po przyjeździe napisałam list do mojego narzeczonego. W kilkanaście dni później przyjechał. W tym dniu spotkaliśmy się razem ze starymi znajomymi z partyzantki. Piliśmy, wspominaliśmy dawne czasy, głośno śmialiśmy się. Ktoś podkapował i nad ranem przyszła milicja. Na komendę zabrali mojego narzeczonego - Konstantego, bo nie był zameldowany. Za kratami siedział dwa tygodnie, bo w miejscowej jednostce urzędował stary znajomy z partyzantki. Powiedział mi:

- Zbieraj się stąd i wyfruwaj, żeby cię tu więcej nie było!"

Niektórzy z naszych rozmówców trafili na nowe tereny w prostszy sposób i łatwiej znaleźli dom. Tak jak HALINA DOMALIK sami mogli zdecydować o miejscu zamieszkania, wysiadając na dowolnej stacji:

„Transport nasz w większości został skierowany do województwa koszalińskiego. Kilka rodzin wysiadło w Tarnowie, z zamiarem dojazdu do swoich bliskich w Krakowie. Moja rodzina wraz z kilkoma innymi opuściła wagon w Wąsoszcu powiat Góra Śląska. Wprawdzie namawiano nas, abyśmy jechali docelowo, gdzie podobno czekały na nas mieszkanie oraz meble, ale nie skorzystaliśmy."

O przybyciu przesiedleńców do Góry mówi także pierwsza KRONIKA naszego miasta. Znajduje się ona w Urzędzie Miasta i Gminy Góra. W zapiskach ówczesnego kronikarza, którym był starosta AUGUST HERBST czytamy:

„Pierwszy transport repatriantów przybył w dniu 5 maja 1945 roku z miasta Pruzany i następnie z Nowej Wilejki. Później w różnych odstępach czasu przybyły z: Trombowli, Tarnopola, Berezy Kartuskiej, Złoczowa, Czortkowa, Kopyczyńca, Podwołoszczysk, Wilna, Trok, Łucka, Baranowicz, Kowna i innych miejscowości. W dniu 3 lutego 1946 roku przybyły dwa transporty z ZSRR: Kirowogradu i Odessy. Repatrianci ci byli obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej i w latach 1939 - 1941 deportowano ich z terenów wschodnich do Rosji. Repatriantów przywożono bardzo często, nie wyłączając pory zimowej, w wagonach odkrytych, co ujemnie wpływało na stan ich zdrowotności, jak również na stan zdrowia inwentarza żywego, jaki z sobą niektórzy przywieźli.

W końcu lata 1945 r., to jest w dniu 22 września stan ludności polskiej w całym powiecie wyniósł 13970 osób, w końcu jesieni, to jest w dniu 21 grudnia 1945 r., w końcu zimy, to jest w dniu 20 marca 1946 r. 20516, w końcu wiosny, to jest w dniu 20 czerwca 1946 r. 23272 osoby. Chłonność powiatu jest jeszcze możliwa.

Poza repatriantami przybyli ludzie z różnych stron Polski na stały pobyt."

Co czekało tych ludzi po przyjeździe?

„Miasta i wsie, pola, sady, ogrody, przydrożne drzewa owocowe, itp. przedstawiały obrazy godne pożalowania. Widoki uzupełniane były często rozszanymi padlinami zwierząt domowych, drobiu i innych. Człowiek cywilny nawet w jasny dzień bał się człowieka i do wszystkich ludzi odnosił się nieufnie.”

Wszyscy patrzyli w przyszłość nieufnie, nie wiedząc co może ich spotkać na nowej ziemi.

EDWARD GOLICZ wspomina:

„Nie było w nas nic z później opiewanych pionierów, którzy szli zagospodarować odzyskane ziemie. Niedawny ukraiński terror, teraz obawa przed wymagowanymi Niemcami (przecież byliśmy na ich ziemi), podtrzymywana wersja o tymczasowości doprowadziły do pełnej apatii. W kilka rodzin zamknęliśmy się w jednym z domów na piętrze i czy to z żalu, czy ze strachu trudno to dziś powiedzieć, przez kilka dni nikt nie wychodził z domu, nie rozpakowywał swojego majątku.”

Niepewność o przyszłość towarzyszyła przesiedleńcom cały czas. Nie wiedzieli, czy pozostaną tu na stałe, czy jeszcze raz będą musieli porzucić swoje domy. Uczucie to utrudniało im odnalezienie się w nowej rzeczywistości.

Mówi o tym PETRONELA GŁUSZKO:

„Traktowano to jako tymczasowe. Dowód tego, że na gospodarce po dwóch siadało. Po co, jak to można było wszędzie zająć? No, a tymczasowo, nie będziemy długo, nie będziemy... Trzymali się, że to razem, bezpieczniej, to po dwóch. Dużo lat mówili, że to tymczasowe, dużo lat. Pankiewicz to umarł i mówił że zawsze tymczasowo. Takie durne tymczasowo. Kto mądry to zajął i gospodarzył.”

Wspomina także tamtejszego księdza Walkowa, który uspokajał ich, powtarzając często słowa:

„ - Nie bójcie się! Kości wasze i waszych dzieci tutaj.”

Repatrianci często po długiej podróży przybywali na miejsce osiedlenia w bardzo oplakany m stanie.

W zapiskach ówczesnego starosty górowskiego AUGUSTA HERBSTA – czytamy:

„Okryci byli w łachmany, obuwie zupełnie zniszczone, a większość z nich miała nogi owinięte w szmaty. Byli bez pieniędzy i bez jakichkolwiek środków żywnościowych. Szczególnie w ciężkiej sytuacji byli przesiedleńcy z głębi Rosji. Wielkiej pomocy materialnej, tak w zbożu, jak i w inwentarzu żywym i martwym, potrzebowali przede wszystkim repatrianci z głębi Rosji. Ludzie ci kompletnie z sobą nic nie przywieźli.”

Po przybyciu na nowe miejsce zaczęli zajmować puste domy. Niemcy opuszczając ziemie odzyskane pozostawili większość swojego dobytku, z którego następnie korzystali nowi mieszkańcy. KRONIKARZ górowski napisał:

„Na podstawie dowodów z zeznań świadków w dniu 21 stycznia 1945 roku Niemcy opuścili zupełnie teren powiatu przed ofensywą wschodnią, zgodnie z zarządzeniem cywilnych i wojskowych władz niemieckich, udając się na zachód. Zabrali ze sobą najpotrzebniejsze przedmioty użytku codziennego, żywność i niektóre środki lokomocyjne, pozostawiając mienie żywotne i martwe, ruchome i nieruchome w należyty m porządku.”

Jednak do wszystkiego musieli dojść własną pracą i włożonym wysiłkiem.

Pani CZESŁAWA OBERTYŃSKA relacjonuje:

„Nic nie było, tylko puste ściany i tak człowiek musiał sam się czegoś dorobić. Ludzie chodzili po tych domach bo były ponemieckie. Każdy co mógł to coś sobie zbierał, na przykład jakiś tapczan.”

Bo Niemcy pozostawiali też dużo wszystkiego – także można było coś sobie wybrać. I tak pomalutku wzbogacaliśmy się.”

Nikt nie interesował się przebiegiem osadnictwa. Nie istniały wtedy jeszcze na tyle sprawne instytucje, by nadzorować ten proces:

„No wtedy nie było specjalnie władz. Po 1945 roku to się zaczynało dopiero formować. Taka władza z początku była - jak to się mówi- zbieranina. Później to się trochę uregulowało. Ludzie zaczęli się poznawać, ponieważ jedni pochodzili z jednych stron, drudzy z drugich. Także tutaj w Górze jest mieszanina ludzi. Jest trochę z tej Ukrainy - jak oni nazywają moje strony - trochę z Wileńszczyzny, Białorusi.”

KRONIKA podaje fakty o powstaniu władz:

„W takim stanie zastały powiat władze polskie i rozpoczęły pracę.

Dnia 6 maja 1945 roku zorganizowany został Inspektorat Osadnictwa Państwowego Urzędu Repatriacyjnego i punkt etapowy Polskiego Urzędu Repatriacyjnego.

Pomoc lekarska zapewniona była na miejscu, chorób zakaźnych prawie nie było.”

Z obu relacji wynika, że na początku osiedlania istniały zawiązki władz. Z wypowiedzi naszego świadka wnioskujemy jednak, że ludność nie odczuwała skutków ich działalności.

Sąd nasz potwierdza jeszcze kronikarz, który w innych słowach mówi:

„Ze względu na brak pomocy ze strony pełnomocników państwowych ludność z obwodu własnymi siłami wspiera się na wzajem przy uruchamianiu warsztatów pracy, jednak pozytywnych wyników nie zauważa się dziś ze względu na bardzo duże zniszczenia powiatu przez działania wojenne, miasto ok. 40%, wieś ok. 30%.”

Ludzie jadący jednym wagonem starali się znaleźć w tej samej miejscowości. Zasiadlali kolejne wioski i miasta.

Mówi o tym MICHAŁ JAN MIKUŚ:

„Przybyliśmy w sobotę. Miastowi osiedlili się w Górze, a my na wsi, która nazywała się Wroniniec

Każda wioska trzymała się razem. Kruchów poszedł do Żuchłowa, my do Wroninca. Ci, co się nie zmieścili do Szaszarowic

Gdy tu przyjechaliśmy wszędzie było pusto, pozostał tylko jeden Niemiec z żoną, ale i oni odeszli. Ich stąd wypędzili, a nas stamtąd.

Podobnie było z Ukraińcami, którzy mieszkali w Rzeszowskiem. Zostali oni wywiezieni do naszych domów na Ukrainę. Jeden z nich opowiadał, że jak przyjechał tam to kupił w kooperatywie miejscową gazetę. Pisało w niej, że w Rosji można wszystko kupić. Gdy zapytał się dlaczego piszą nieprawdę oficer radziecki powiedział:

- Ty schowaj gazetę i cicho bądź, bo pojedziesz jeszcze dalej.”

Niektórzy chcieli zamieszkać w mieście, ponieważ do takiego życia byli przyzwyczajeni.

Przykładem tego jest CZESŁAWA OBERTYŃSKA:

„Chcieli nas ulokować na wiosce, ale nasz kierownik mówi:

- Nie! Lepiej w tym małym miasteczku.

To miasto nazywało się Guhrau. I tutaj wyładowaliśmy się. Było trochę tych wolnych domów, można było sobie coś wybrać. A o pracy to się wtedy nawet nie myślało. Bo i skąd? Jaka to praca mogła być. Jechaliśmy tutaj w nieznaną i tak każdy szukał jakiegoś schronienia, żeby mieć ten dach

nad głową... Ojciec mój raczej chciał w samym śródmieściu mieszkać. Niektórzy sobie szukali gdzieś tam na peryferiach mieszkania. Ale mój ojciec mówi:

- Ja to sobie załóżę sklep, wolę w samym śródmieściu.

I tak w tym domu na rogu przy ówczesnej Posenerstrasse zamieszkaliśmy. Rodzice moi żyli tu około czterdziestu lat. A ja jestem tu już pięćdziesiąt trzy lata. Zaczęłam tutaj normalne życie”

Jakże trudne okazało się zdobywanie najpotrzebniejszych rzeczy. Szczególnie na wsi trudno było o zwierzęta, tak potrzebne do uprawy roli.

Swoje pierwsze lata pobytu we Wronińcu (wieś w okolicach Góry) przedstawia PETRONELA GŁUSZKO:

„Jak myśmy tutaj przyjechali, wszystko już było pozajmowane, to myśmy musieli odkupić ten dom, też od osadnika, przesiedleńca, od Ignatowicza. On to traktował jako tymczasowe, bo w tym największym pokoju trzymał bydło, obornik wyrzucał oknem. Także miałam jako młoda zaprawę, żeby można to było używać jako mieszkalne. My tu przyjechali, mieliśmy takie parniki. Wzięliśmy ten parnik podpalili, nagrzali wody, to wszystko te lady pogotowali, te wszy...

Ta tu nic nie było. Puste sklepy były. Zanim to się doszło. Boże..

A później my, jak już tam na majątku był taki kierownik, dał nam dwa pokoje, takie było mieszkanie. I dał nam 6 ha pola. Jak nic nie masz, ni konia, ni nic

Jak myśmy się pobrali i tutaj zagospodarowywali, to mama mieszkająca koło Kluczborga dała nam w posagu krowę. I za tą krowę kupił małego konia, bo krowy nie było sposobu przewieźć. Koń był zbyt młody, żeby na nim jechać, więc go przyprowadził. Tydzień czasu ta wędrówka trwała, prawie 200 km z Kluczborga do Wronińca. Nocował w drodze u różnych ludzi. Ale to było ważne, żeby było czym uprawiać ziemię.”

Pani PETRONELA z uśmiechem przypomina sobie pewne sytuacje związane jeszcze z pobytom Rosjan:

„Jak była zabawa, to ruskie poubierały się w szlafroki, bo to byli takie ładne, atlasowe, poniemieckie. Jak ruski zegarek miał, zaczął chodzić, dzwonić, a ten drugi każe: >Kiedaj, bo to mina!< Takie jeszcze byli zadowolone. Za zegarek to i rower można było dostać, i wszystko można było dostać u Ruskich. Tak było.”

Pan BRONISŁAW PAWLIK, jako zesłaniec syberyjski znalazł się w odmiennej sytuacji. Było mu o tyle trudniej, że nie znał nikogo, był sam i nie przywiózł ze sobą żadnego dobytku.

Tak opisuje nam swoje pierwsze lata życia na terenach ziemi górowskiej:

„W 1945 roku przyjechałem do okolic Góry Śląskiej i zamieszkałem w Rogowie Górowskim. Po przybyciu nikt nikogo nie znał, spotkała się sama zbieranina, dano mi dom, nic poza tym nie miałem, rodzice moi nie doczekali. Tu ukończyłem szkołę, zacząłem pracę na PKS-ie, założyłem później rodzinę.

Nigdy nie wróciłbym do tamtych, najokropniejszych lat. Tutaj dopiero zacząłem przecieżyć żyć...”

Podobnie potoczyły się losy innych Sybiraków. W większości znaleźli się oni na Ziemiach Odzyskanych.

Jednak większość z nich w dość krótkim czasie po powrocie do kraju umarło. Przeżycia syberyjskie nie pozostały obojętne na stan zdrowia. Wielu młodszych jeszcze żyje, uskarżając się na różne dolegliwości mające – według ich odczuć, ścisły związek z głodem, poniewierką, zimnem i degradacją psychiczną na Syberii.

O specyficznych trudnościach jakie spotkały przybyłych z Syberii wspomina także kronika:

„Ostatnio przybyła poważna ilość repatriantów z Syberii, którzy są pozbawieni kompletnie jakichkolwiek środków do życia.”

Powoli rozpoczynało się normalne życie. Ludzie starali się urządzić jak najlepiej. Zbierali stare, pozostawione przez Niemców sprzęty i znosili je do siebie.

JANINA CHAŃKO opowiada, że:

„Do Góry przyjechaliśmy 24 czerwca 1946 roku. To tu mieliśmy spędzić całe życie. W Górze zamieszkaliśmy w starej kamienicy przy ulicy Wrocławskiej. W pokoju było trochę krzesel, szafa, stół i jakieś łóżko. W pokoju obok mieszkał warszawiak Imiołek z dziewczyną Nienką - Gerda. Na dole mieszkali bracia Konstantego: Feliks i Edmund, który jako jeden z pierwszych zaczął chodzić do otworzonego tu niedawno gimnazjum.

Jak było w innych domach - nie wiem. Tu stacjonowało wcześniej wojsko ruskie, więc nie zostało nic. Konstanty chodził po pustych domach i znalazł kryształowe kieliszki, przyniósł też szafę, kredens i krzesła. Miejscowi opowiadali, że jak Niemcy uciekali, to pozostawiali wszystko. Później przyjeżdżali poznaniacy i zabierali to, co zostało do siebie. Na podwórku pod domem leżała kupa złomu. Były tam części czołgów, karabinów i różne śruby. Co lepsze zabierali miejscowi, albo poznaniacy a reszta trafiała do hut.

W 1946 zaowocowały nasze pierwsze ogórki. Pomocy udzielał także PUR. Z czasem mieliśmy małe gospodarstwo. Hodowaliśmy kaczki, kury i owce. Wszystko zaczęło się od konia, który przyjechał w wagonie z Konstantym. Pracy nie brakowało.”

HALINA DOMALIK tłumaczy, jak trafiła do Góry:

„Miejscowość Wąsosz była małym miasteczkiem i jak się potem okazało nie było tam możliwości pozostania ze względów mieszkaniowych, jak i pracy.

Po naradzie z panem Wysockim, drugiego dnia we trójkę, to jest pan Wysocki, jego córka Władzia i ja, wyruszyliśmy pieszo do odległego o około 15 km miasta powiatowego Góra Śląska.

Zgłosiliśmy się w Starostwie, gdzie przyjął nas sam starosta - Herbst. Po zapoznaniu się z naszą sytuacją, skierował nas, a właściwie namówił na przejazd do jednej z dużych gmin - Ścinny. Pana Wysockiego zapewnił, że otrzyma tam piękne gospodarstwo, a ja i Władzia zostaniemy zatrudnione w biurze urzędu gminnego. Tak się też stało.

W roku 1948 wyjechaliśmy do Góry Śląskiej.”

Jak wspomina swoje początki STEFAN POJASEK?

„W Górze było już trochę ludzi, ale nie dużo. Od Wilna trochę, z Polesia dużo zajęło gospodarke i inni robotnicy, co wracali z robót u Niemców. Dom mój zajęli dwaj mężczyźni, którzy potem wyprowadzili się do lepszego gospodarstwa, więc ja go zająłem. Nic tam nie było, tylko jeden obraz Góry. Okna wybite, drzwi połamane. 1 września 45 roku zacząłem pracę jako dróżnik na szosie. Mama tam była zapłata, więc mnie też do ogrodnictwa przyuczył. I tak sam zacząłem prowadzić swoje ogrody.”

Jeszcze jednym interesującym wydarzeniem jest wątek z opowieści pana STEFANA:

„Kiedy Rusczy się wyprowadzali z naszych stron, my z moim szwagrem umyślili Ruskom dowcip. Szwagier poszedł im kury ukrąść. Zabrał sześć kur, zapakował w wór i uciekł do domu. A za nim przyleciał Rusek z automatem. Jakby to był ślaby, sam bym mu łeb ukręcił, ale to takie chłopisko był! Szwagier schował się we wnękę na strychu, a worek, ot dumny, rzucił na środek pokoju. Rusek

przeszukał cały dom, ale nic nie znalazł. Nawet kury tak cicho siedziały, aż dziwno, jedna obok drugiej, sześć kur! Wtedy poszedł sobie. Aleśmy się ze szwagrem uśmiali!”

Ponieważ przesiedleni pochodzili z różnych stron Polski, nowo powstające społeczności miejskie i wiejskie były mieszaniną ludzi różnych środowisk i postaw.

KRONIKARZ zanotował takie informacje na ten temat:

„Ludność jest z różnych części i stron Polski, różny jest poziom jej kultury duchowej i cielesnej, różna moralność osobista i społeczna, różny stopień wykształcenia ogólnego, wykształcenia i doświadczenia zawodowego, różne wyrobienie towarzyskie i obywatelskie, różna inteligencja, różne zwyczaje i obyczaje. Poza niedużym odsetkiem ludzi o silnym i dodatnim charakterze, ogół ludności jest zdemoralizowany przebytą wojną.”

Poważnym problemem dla władz było potajemne gorzelnictwo. Samogon stanowił również środek płatniczy.

W wypowiedzi pana STEFANA POJASKA odnajdujemy wzmiankę na ten temat:

„A ile tu szabrow i przekrętów było!

Ja sam też bimber pedził. Taki to dobry był, że my z Ruskami na te zigaretten się wymieniali. Jak zakaz przyszedł, taką mnie karę okryli, że i do dziś na bimber patrzeć nie mogę.”

W KRONICE czytamy dalej:

„Okolo 5% ludności bezpośrednio po przybyciu zajął się potajemnym gorzelnictwem, niekiedy bardzo prymitywnym. Różnorodnymi aparatami wytaczano samogon z różnych artykułów: ziemniaków, buraków pastewnych i cukrowych, melasy, zboża, mąki i innych. Proceder ten ze względu na pokaźne zyski uprawiali nawet niektórzy sołtysi wsi, urzędnicy samorządowi i państwowi, milicjanci i inni.

Samogon zajął pierwsze miejsce na rynku nielegalnego handlu. Samogon był też środkiem płatniczym w handlu szczególnie z Rosjanami. Rosjanie chętnie wymieniali swoje “trofea” na samogon. Trofeami były też przedmioty skradzione lub zrabowane na szkodę Polaków. Tego rodzaju handel nie był długi, bo samo życie zlikwidowało go, gdyż na przykład jeden żołnierz za jakiś przedmiot otrzymał wódkę, a drugi żołnierz przybył po nim i postawiony przedmiot odebrał pod pretekstem, że stanowi własność skarbu państwa. Żeby sprawę na miejscu zlikwidować wymagał obfitego poczęstunku, co prawie zawsze otrzymywał.”

Nadmierny w owym czasie rozwój potajemnego gorzelnictwa spowodował degradację moralną społeczności miasta.

KRONIKA podaje:

„W skutek tego ludność się rozpila. Pili starzy mężczyźni, niewiasty, młodzież płci obojga, a nawet dzieci. Były przypadki śmierci nagłej od nadmiernego spożycia samogonu. Były też przypadki, że uczniowie pierwszej klasy powszechnej szkoły w czasie lekcji tracili przytomność od zamroczenia alkoholowego.”

Alkohol, w tamtej rzeczywistości, nie był jedynym problemem. Pozostawione przez Niemców mienie stanowiło często przedmiot kradzieży. Rozwinał się wówczas tzw. szaber, którym zaczęła trudnić się znaczna liczba mieszkańców. Otrzymywane w ten sposób dobra niejednokrotnie były podstawą handlu, także poza terenem powiatu.

W KRONICE odnajdujemy zapis o tym:

„Bezpośrednio po zadomowieniu się około 40% ogółu ludności zajęty był tzw. „szabrem”. Szaber polegał na tym, że tajnie lub jawnie zabierano mienie poniemieckie albo mienie porzucone, a następnie mienie to było przedmiotem handlu poza granicami powiatu, z chęci osiągnięcia korzyści materialnych. Zauważyć przy tym należy, że wynoszenie albo też wywożenie jakichkolwiek rzeczy z terenu Śląska Dolnego, a więc i z powiatu tutejszego zakazane było pod skutkami prawa.”

Ludzie, chcąc stworzyć dla siebie jak najlepsze warunki, często nie przebierali w środkach. Dopuszczali się drobnych oszustw przy pobieraniu zapomóg.

Powiedział nam o tym pan POJASEK:

„A ile to w PUR-ze śledziów i innych nabrali. Ja sam ze szwagrem byłem, a braliśmy dla całej rodziny, choć nas tylko dwóch było.”

Informacje o otwarciu punktów udzielających pomocy przesiedlonym znajdują się w kronice:

„W dniu 24 maja 1945 r. punkt uruchomił kuchnię dla repatriantów i osiedleńców.

Polski Urząd repatriantów wypłacał zapomogi doraźne w wysokości około od 100 do 200 złotych na osobę. Repatrianci z głębi Rosji otrzymywali po 500 złotych na osobę.”

W sytuacji, kiedy ludzie nie znajdowali w niczym oparcia, zdezaktualizowały się wszelkie zasady moralne i nikt nie był pewny przyszłości, szerzyło się zgorzienie. Zastraszający tego obraz ukazuje kronika:

„Nieróbstwo, gościny, zabawy, prywatne i publiczne czyny lubieżne, nawet pomiędzy młodzieżą szkolną i nieletnimi, a w związku z tym choroby weneryczne, niezgody, kłótnie i bijatyki były zjawiskami życia codziennego.

Dzielnicowość i związane z tym przykrości ludzkie, brak ufności i zaufania pomiędzy ludnością, brak idei, poczucia godności osobistej, honoru i inne przywary były nagminne. Celowa praca i nauka, i walka z tymi ujemnymi cechami charakteru wydała poważne wyniki.”

Ogólną atmosferę zepsucia potęgowała jeszcze postawa żołnierzy radzieckich, stacjonujących na tym terenie. Pograżając się w lekturze kroniki górowskiej, zszokował nas niżej przytoczony opis:

„Nauczycielki szkół wiejskich stanowiły obiekt zainteresowań wielu oficerów i żołnierzy radzieckich. Chcąc uchronić się przed grożącymi niebezpieczeństwami zmieniały często swe miejsca zamieszkania, a sypiać musiały niekiedy na strychach domów, przybudówkach, a nawet w piwnicach różnych gospodarstw. Nieodosobnionym był przypadek, jaki miał miejsce w dniu 20 listopada 1945 roku we wsi Stara Góra, gdzie podczas lekcji weszło do szkoły kilku uzbrojonych, w stanie podchmielonym żołnierzy radzieckich, w celu nawiązania intymnych stosunków z nauczycielką. W wytworzonej sytuacji i przed bezpośrednią agresją ze strony żołnierzy, nauczycielka nakazała dziatwie szkolnej natychmiast opuścić szkołę, a sama wyskakując oknem ukryła się u pobliskich gospodarzy.”

W naszym odczuciu najgorszym jest fakt, że podobne próby gwałtu nie były przypadkiem odosobnionym!

W poufnym sprawozdaniu z 10.08.1945 roku starosta AUGUST HERBST donosi:

„Często zdarzają się wypadki gwałcenia niewiast polskich przez niektórych żołnierzy radzieckich.”

W dalszej części sprawozdania HERBST donosi o prowokacjach, biciu wieśniaków, bezprawnych i nieuzasadnionych rewizjach w domach i zabudowaniach polskich, zabieraniu mienia prywatnego przywożonego przez repatriantów, wygrazaniu się użyciem natychmiastowej przemocy fizycznej i zbrojnej. Zarzuca on żołnierzom radzieckim sianie paniki, a w końcu zwykle kradzieże rozbójnicze, dokonywane głównie nocą.

W jego sprawozdaniu czytamy:

„Rozzudwalenie żołnierzy sowieckich dochodzi do takiego stopnia, że ślady kradzionego bydła prowadzi wprost do koszar wojskowych w mieście

Wobec takiego stanowiska żołnierzy Armii Czerwonej do ludności polskiej, stosunek ludności polskiej do Armii Czerwonej jest wręcz nieżyliwy.

28.11.1945 r. we wsi Alt Neuheiden wymordowana została rodzina niemiecka składająca się z siedmiu osób. O morderstwo to podejrzani są żołnierze Armii Czerwonej. Ci sami żołnierze obrabowali dom wymordowanej rodziny.

Dnia 29. bm. znaleziono zwłoki zamordowanego mężczyzny - Polaka. Jak widać ze śladów denat był strzelany, a następnie tym samym narzędziem dobity, potem został obrabowany. O popełnienie tego czynu podejrzani są również żołnierze Armii Czerwonej. Sprawcy na wojskowe mundury nakładają płaszcze i posługują się krótką bronią palną i bronią sieczną.

Szczególnie niebezpieczne i uciążliwe były oddziały przejeżdżające przez teren powiatu oraz grupy nieznanymi żołnierzami radzieckimi, którzy celowo przybywają z innego terenu, aby dokonać rabunku, a następnie szybko się oddalić.

30.04.1946 r. na drodze publicznej w okolicy Wasosza miligja obywatelska stoczyła z żołnierzami radzieckimi walkę, przybyłymi tu z terenu obwodu wołowskiego z zamiarem dokonania rabunku. W wyniku walki dwóch żołnierzy radzieckich zostało zranionych, trzech ujęto i przekazano wojskowym czynnikom do dyspozycji.”

Wielką ulgę musieli poczuć mieszkańcy z chwilą opuszczenia Góry przez ostatnie oddziały wojsk sowieckich. Świadczą o tym słowa kroniki:

„W czerwcu 1946 roku ostatnie załogi wojsk radzieckich opuściły miasto Górę Śląską, co wpłynęło dodatnio na akcję osiedlania w mieście.”

Dopiero wówczas mogli odetchnąć ze spokojem, a sytuacja w mieście zaczęła powracać do normy. Wiele było jeszcze do zrobienia. Na ludzi czekała praca. Każdy był potrzebny do stworzenia nowego życia.

Kronika podaje:

„Rolnikom powierzone były gospodarstwa rolne, rzemieślnikom warsztaty pracy, kupcom sklepy, robotników angażowano do przemysłu i innych zawodów, a inteligencja obejmowała stanowiska odpowiednie.”

Jako jedną z pierwszych podjęto akcję usuwania z dróg pozostałości powojennych i ich naprawę. Było to ważne dla rozpoczęcia normalnego życia gospodarczego na terenie powiatu.

„R.Z.D. prowadzi usuwanie z dróg wszelkich pozostałości powojennych, naprawę dróg, odbudowę i budowę mostów, gdzie tego wymaga najpotrzebniejsza potrzeba życia

gospodarczego. Prace idą zbyt powoli z powodu braku kapitałów i odpowiednich fachowców.”

Trzeba dodać, że pracy w tym względzie, było niemało. Świadczy o tym, zawarty w kronice, opis stanu dróg, w jakim zastali je pierwsi przybyli repatrianci.:

„Na wszystkich drogach kolejowych, kołowych i pieszych oraz w rowach przydrożnych było mnóstwo zepsutych rowerów, motorowerów, motocykli cywilnych i wojskowych, wozów i wózków konnych, aut osobowych, półciężarowych, ciężarowych, aut pancernych, czołgów, dział różnych kalibrów, różnego rodzaju sprzętu wojskowego, porzuconych wózków dziecięcych, pościeli, części różnych garderoby, naczyń kuchennych, itp. Nierzadko w tych samych miejscach i na polach pobliskich pogrzebane były w śniegu zwłoki zmarłych dzieci, staruszek, starców, kalek i innych osób płci obojga.”

Na nowo odradzało się życie. Mimo trudnych początków wszystko zaczynało się rozwijać i stabilizować. Ludzie starali się pokonać wszelkie trudności. Stan gospodarczo-ekonomiczny był wciąż niezadowolający.

Potwierdzeniem tych słów są zapiski znalezione przez nas w kronice:

„Stan gospodarczo-ekonomiczny Obwodu Górowskiego, ze względu na nowo odradzające się życie jest bardzo niski.

Ludność repatriantów i częściowo rekrutująca się z przesiedleńców żyje w ciężkich warunkach materialnych, ze względu na brak siły pociągowej i sprzętu rolniczego.”

Szczególne trudności napotykały rolników. Dotkliwym problemem był brak maszyn.

W piśmie z 25.06.1945 r. do Komendy Wojennej Armii Czerwonej starosta górowski AUGUST HERBST donosi:

„Rolnicy nie mają odpowiedniej ilości żniwiarek, wiązalek, grabiarek, wozów drabiniastych niezbędnych do akcji żniwnej. Jak twierdzą sołtysi wsi, to w majątkach ziemskich pozostających w dyspozycji majątków sowieckich zgromadzone są w nadmiarze takie maszyny i narzędzia rolnicze, jakich jest brak dotkliwy w gospodarstwach chłopskich. Maszyny te wywożone są w poznańskie, czy też dalej i przypuszczalnie sprzedawane, bo cóż za cel nie zostawić ich w folwarkach, lecz ciągnąć wspomniane maszyny w taborach wojskowych.”

Jak mówi kronika, przesiedleni nie byli przygotowani do uprawy roli:

„Rolnicy, szczególnie z terenów wschodnich nie są przygotowani ani do uprawy gleby, ani do pielęgnacji jej, ani też do używania nowoczesnych narzędzi rolniczych i nawozów sztucznych.”

Ciężką sytuację potęgował brak zwierząt, a co za tym idzie niedobór siły pociągowej:

„Brak żywego inwentarza w obwodzie nie daje gwarancji szybkiej odbudowy gospodarki rolnej, a co za tym idzie nie ma widoku szybkiej poprawy stanu gospodarczego i ekonomicznego powiatu.”

Znaczne niedostatki rolnictwa nie dawały gwarancji rychłej poprawy sytuacji na wsi. Mimo tego ludność okoliczna nie rezygnowała ze swoich usiłowań na jej rzecz. Wspólnym wysiłkiem przeprowadzono pierwsze żniwa, a nawet tradycyjne dożynki.

Pisze o tym kronika:

„Żniwa przeprowadzone zostały w lipcu i sierpniu 1945 roku siłami polskimi. Duży udział w akcji żniwnej wzięli też mieszkańcy miast łącznie z urzędnikami. Zmobilizowane też były wszelkie środki mechaniczne i wszystkie siły pociągowe. Żyto i pszenica zasiane były jeszcze przez Niemców. Dużo zboża chlebowego, zbóż oleistych i paszy uległo zniszczeniu wskutek nieżyczliwego stanowiska oddziałów wojsk radzieckich. Po zakończeniu żniw w wielu miejscowościach odbyły się tradycyjne polskie dożynki.”

Podobne problemy napotykała na swej drodze sprawa uprzemysłowienia okręgu miasta Góra Śląska:

„Uporzemysłowienie powiatu bardzo słabe z powodu braku surowców i energii napędowej. Uruchamianie elektrowni przy cukrowni na terenie miasta Góry Śląskiej daje już pewne możliwości rozwoju przemysłu, jednak tylko na terenie miasta.”

Trudności doświadczał także rozwój handlu:

„Ruch handlowy traci na swej sile, jaką miał przed paroma miesiącami. Przyczyną jest brak odpowiedniej ilości artykułów pierwszej potrzeby przede wszystkim, a następnie szybki rozrost i rozwój spółdzielczych przedsiębiorstw handlowych, przemysłowych i rzemieślniczych, tak na terenie miasta, jak i w powiecie.”

Zwalczanie przeciwności na polu gospodarczo-ekonomicznym rozpoczęto między innymi poprzez renowację zakładów pracy i przywracanie ich do używalności. Stan w jakim repatrianci je zastali, pozostawiał wiele do życzenia.

Oddają to słowa pana MICHAŁA WIŚNIEWSKIEGO – pracownika mleczarni górowskiej:

„Zakład w Górze był budynkiem bez szyb i drzwi, wewnątrz duże ilości guzu, a na zewnątrz ogrom porozrzucanych papierów. W masłowni stały dwie duże, zniszczone maselnice, jedna o napędzie z silnikiem elektrycznym, druga z kołem transmisyjnym na napęd parowy. W kotłowni znajdował się kocioł o dopuszczalnym ciśnieniu 6At, maszyna parowa, a w maszynowni zbiornik amoniakalny do wytwarzania lodu. Innych istotnych maszyn nie było. Po istniejących kołach transmisyjnych można było wnioskować, że energią napędową była para wodna.”

Stan w jakim zastano drugi z największych w naszym mieście zakładów – cukrownię, opisują jej PRACOWNICY:

„Mimo elektryfikacji zastaliśmy dużo napędów transmisyjno-parowych oraz napędów parowych napędzanych maszynami t/okowymi. Załoga niemiecka przed ewakuacją zdemontowała i ukryła kilka urządzeń i maszyn precyzyjnych. Niektóre z nich znaleziono wiosną 1946 roku podczas porządkowania zakładów zakopane w przyłazach żużlowych, w skrzyniach. Były tam między innymi: regulator turbiny, wzbudnica generatora, podstawowe mierniki głównej rozdzielni.”

Mimo różnorodnych kłopotów związanych z zagospodarowywaniem się na ziemi górowskiej, Kronikarz optymistycznie stwierdza, że:

„Mimo napotykanych trudności, trzeba jednak stwierdzić, że władza w powiecie przy wydajnej pomocy ludności i pomocy państwa, choć bardzo skromnej, wiele uczyniła dla zagospodarowania przywróconej krajowi ziemi górowskiej.”

Jednocześnie z odbudowywaniem życia gospodarczego, tworzył się nowy ład w administracji. Jak pokazuje historia na każdym kroku napotymano na przeszkody. W

urzędach brakowało wszystkiego. Tworząca się administracja nie była zaopatrzona nawet w niezbędne środki.

Relacjonuje to starosta AUGUST HERBST :

„Dotychczas z zewnątrz nie otrzymałem urzędów biurowych, ani też jakichkolwiek materiałów piśmiennych, przyborów i pomocy kancelaryjnych za wyjątkiem jednej uszkodzonej maszyny do pisania. Pracuję na urządzeniach biurowych i korzystam z materiałów i środków zdobytych sposobem gospodarczym. Materiał piśmienny i pomocniczy jest już na wyczerpaniu i jeżeli nie zostanie uwzględnione moje zapotrzebowanie, które już przedłożyłem zmuszony zostanie porozumieć się z odpowiednim czynnikiem i dokonać konfiskaty ponemieckich papierów tapetowych i papier ten wykorzystać dla celów urzędowych.”

Mimo tego, zaczynały funkcjonować urzędy:

„W dniu 17 grudnia 1945 roku ogłoszone i wprowadzone zostały tutaj sądy doraźne. W dniu 9 listopada 1946 roku powstała Miejska Rada Narodowa, której przewodniczącym został Kazimierz Banaszak.”

Jedną z pierwszych decyzji władz miasta było przemianowanie nazw miejscowości i ich ulic z języka niemieckiego na ojczysty.

Czytamy o tym na kartach Kroniki górowskiej:

„W miesiącu wrześniu 1945 roku, ponieważ sprawa była dość paląca, na drodze urzędowej otrzymał miejscowy urząd pełnomocnictwo rządu Rzeczypospolitej Polskiej na nadanie nazw miejscowości w języku polskim, gdyż dotychczas posługiwano się w życiu prywatnym i urzędowym tylko nazwami niemieckimi.”

Wcześniej jeszcze otwarto na terenie miasta oddział poczty, co ułatwiało komunikowanie się z innymi częściami kraju:

„Dnia 7 maja 1945 roku uruchomiono oddział nadawczo-odbiorczy w Urzędzie Poczto-Telekomunikacyjnym w Górze. Wymiana poczty odbywała się trzy razy tygodniowo w Lesznie za pośrednictwem gońca rowerowego.”

Kolejnym palącym problemem umożliwiającym rozwój i normalne funkcjonowanie społeczeństwa, była sprawa szkolnictwa. Pierwszą powstałą instytucją związaną z tą dziedziną życia był Inspektorat Szkolny. Powołanie go do istnienia wiązało się z dużym wkładem pracy ze strony samych zainteresowanych. Rozpoczął on rejestrowanie nauczycieli i tworzenie placówek szkolnych.

Kronika podaje:

„Dnia 23 czerwca 1945 roku ob. Krechowicz Walerian – Inspektor Szkolny – uruchomił w Górze Inspektorat Szkolny Powiatu Górowskiego. We własnym zakresie działania uporządkował i doprowadził do stanu używalności dom przeznaczony na inspektorat, a następnie przy pomocy nauczyciela Rzezińskiego Stanisława szukał i znosił znalezione sprzęty na umeblowanie biura. Nie zrażony różnymi przeciwnościami przystępuje do rejestracji nauczycieli znajdujących się na terenie powiatu do organizacji szkół i zapisuje młodzież do gimnazjum. Pierwsza szkoła powszechna w powiecie została zorganizowana i otwarta w dniu 25 czerwca 1945 we wsi Czechin przez nauczycielkę Nickowską Janinę.”

Przed otwarciem szkół nie brakowało pracy. Stan poniemieckich budynków szkolnych, w jakim znajdowały się zaraz po przesiedleniu, przedstawiał widok zastraszający. Podobnie było z mieszkaniami byłych nauczycieli niemieckich.

Dokładny tego obraz przedstawia kronika:

„W związku z działaniami wojennymi poniemieckie budynki szkolne doznały dość dużych zniszczeń, gdyż od lutego do czerwca 1945 roku były przedmiotem kwater wojskowych, a w dodatku niektóre osoby z ludności cywilnej zabrały z zamiarem przywłaszczenia sobie, nie tylko cenne pomoce naukowe jak: lampy projekcyjne, aparaty filmowe, ale nawet gablotki, szafki, ławki szkolne, pianina, itp. Sale szkolne i mieszkania prywatne byłych nauczycieli niemieckich przedstawiały niecodzienny widok i wywierały przykre uczucie. Szyby przeważnie wybite, w wielu wypadkach okna powijmowane nawet z futrynami, albo też połamane, drzwi uszkodzone lub wylamane, kłamki usunięte, ściany uszkodzone niemniej jak i sufity, a ponadto ściany przeważnie zabrudzone atramentem, kawą i innymi płynami, nie dającymi się z łatwością usunąć. Ławki, stoły i katedry połamane lub poważnie uszkodzone, biblioteka szkolna, okazy obrazowe i okazy naturalne z zakresu botaniki, zoologii, przyrody naturalnej martwej i żywej, chemii i innych-zniszczone. To wszystko znajdowało się na podłogach łącznie z przedmiotami i ciałami innymi ulegającymi rozkładowi chemicznemu.

Nauczycielstwo przy pomocy ludzi dobrej woli budynki szkolne oczyściło i doprowadziło do stanu używalności. Przedmioty uszkodzone uzupełniło, braki wyrównało i przystąpiło do pracy zawodowej.”

W trudnej sytuacji znaleźli się sami nauczyciele. Ich wysiłek często nie był doceniany. Przez miejscową ludność zazwyczaj traktowani byli z obojętnością.

Kronikarz zanotował:

„Początkowo praca była bardzo ciężka i trudna. Dotkliwie odczuwalny był brak podręczników, zeszytów, pomocy naukowych, itd. Nauczycielstwo w terenie nie miało zapewnionej aprowizacji żywnościowej w mierze dostatecznej, a zatem liczyć musiało na pomoc ludności, a poza jednostkami, ludność w stosunku do nauczycielstwa zajęła stanowisko obojętne.”

Doskwierał bardzo brak podstawowych pomocy naukowych. Jednym ze sposobów radzenia sobie z tą niedogodnością było organizowanie różnorodnych zbiorów. O jednej z takich mówią ówczesni UCZNIOWIE GIMNAZJUM w swojej kronice szkolnej:

Postanowiliśmy zarządzić z/emu, zapadła więc uchwała - gromadzenie książek, stworzyć bibliotekę szkolną. Biblioteka stawała się czymś realnym, lecz nam zdawało się, że zbyt wolno zapełniają się półki z książkami. Postanowiliśmy urządzić “Dzień Książki Polskiej”, połączonej ze zbiórką książek i uliczną kwestą. Dnia 05.11.1946 r. mieszkańcy Góry zbudził głośny dźwięk trąbki i gudy warkot werbla - to harcerze naszej szkoły rozpoczęli przemarsz ulicami miasta. Na transparentach napisy “złóż grosz na książkę”, “daj książkę uczącej się młodzieży”.

Na ulicach koleżanki i koledzy rozpoczęli zbiórkę pieniędzy. Społeczeństwo nie pozostawało głucho na wołanie młodzieży. Szybko napełniły się skarbonki kwestorów. Zbiórka dała 7,500 i 80 książek.”

Z początkiem roku szkolnego 45/46 miało miejsce wydarzenie szczególnie istotne dla nas dzisiaj. Powstała wówczas nasza szkoła – I Liceum Ogólnokształcące w Górze. Zaraz po tym zaczęto tworzyć kolejne placówki oświatowe.

Dowiadujemy się o tym z KRONIKI:

„We wrześniu 1945 roku zostało otwarte Państwowe Gimnazjum Ogólnokształcące. Rada Pedagogiczna wymienionego gimnazjum składała się z 12 osób. Ilość uczniów ogólnie liczyła 195. Następnie otwarto Szkołę Powszechną Nr 1 w Górze Śląskiej, której kierownikiem został Wilhelm Hanus. Z rozpoczęciem roku na terenie powiatu szkolnego 45/46 otworzono 23 szkoły, w których 35 sił nauczycielskich uczyło 1426 dzieci. W dniu 1 marca 1946 roku czynnych już było 31 szkół, w których 55 sił nauczało 3000 dzieci. Rok szkolny zakończył się z dniem 28 czerwca 1946 roku. W dniu tym było czynnych 63 nauczycieli, 3058 uczniów.”

Cieszy nas, że już wtedy dbano o podniesienie poziomu wykształcenia. Starano się zmniejszyć stopień analfabetyzmu, który był znaczny wśród ludności przesiedlonej. Wybuch wojny bowiem uniemożliwił naukę wielu osobom.

Kronika dodaje:

„Poza tym przy wielu szkołach organizowane zostały kursy dla dorosłych, na których analfabeci i młodzież starsza uzupełniała swoje wiadomości w zakresie szkoły powszechnej. Nadto czynne były trzy przedszkola w powiecie.”

JANINA HORBOWSKA – ZARANNEK, organizatorka przedszkola państwowego w Górze, opisuje:

„Po przyjęciu propozycji zorganizowania przedszkola dla dzieci polskich osadników w Górze zaczęłam przy pomocy matek szukać odpowiedniego lokalu. Wybór padł na jeden, choć niezbyt duży budynek przy ulicy Kościuszki, a to dlatego, że w budynku tym znalazło się trochę częściowo połamanych mebelków dziecięcych, stolików i ławeczek. Zaczęła się więc tam od razu praca: sprzątanie, reperowanie sprzętu, oczyszczanie podwórka i ogrodu. Dużo było pracy, ale praca ta szła nam rado i wesoło, pomagały ochno matki i ojcowie przyszłych przedszkolaków oraz przyszłe wychowawczynie - Maria Czerniakiewicz, Aniela Sołtowska. Dzieci zapisanych było około sto. W dni 15.06.1945 r. odbyło się uroczyste otwarcie tej pierwszej na Dolnym Śląsku placówki przedszkolnej. Szły na naszym budynku brzmią >Przedszkole Polskie w Górze<.”

W tym miejscu kończymy opis wydarzeń, który jednak w pełni nie obrazuje bardzo ciekawego okresu przywrócenia do życia naszego miasta i powiatu.

Wszystko, co ukazałyśmy w tej pracy stanowi jedynie drobny fragment historii. Staraliśmy się przedstawić jak najwięcej wydarzeń, aby w pełni odsłonić prawdę o tamtych czasach.

Nie chciałyśmy się jednak ograniczyć do samych faktów, lecz wyrazić to, co najważniejsze – uczucia tych ludzi i ich spojrzenie na minione realia swojego życia. Dla nich przesiedlenie nie skończyło się z jakąś graniczną datą. Ono ciągle trwa w ich umysłach jako bolesne wspomnienie. Pozostawiło po sobie gorycz i rozczarowanie.

W tonie wypowiedzi naszych świadków odczułyśmy smutek i wzruszenie. Każdorazowe wspomnienie tamtych chwil wywołuje duże emocje, a niejednokrotnie nawet łzy. Niektórzy pamiętają każdy szczegół tamtego okresu, choć nie o wszystkim chcą mówić. To co się wówczas stało ma swoje stałe miejsce w ich pamięci.

Bardzo pięknie sformułowała to jedna z naszych bohaterek – pani CZESŁAWA OBERTYŃSKA:

„Tego się nie zapomina, a zresztą człowiek nawet nie chce wspominać. Dostyc przeżyliśmy z Ruskimi i nie chcemy wspominać tych rzeczy. To były najstraszniejsze czasy w naszym życiu. Ci, którzy przeżyli nie mają wspomnień. Raczej tylko strach i największy smutek.”

Z tych powodów samo pisanie pracy stanowiło niesamowite przeżycie. Kontakt z każdym ze świadków wzbudzał w nas niecodzienne uczucia, zmuszał do myślenia i jeszcze mocniej przekonywał o trafnym doborze tematu.

Nie sposób było przejść obojętnie obok wzruszeń i łez naszych bohaterów. Na pewien czas wydarzenia repatriacji pochłonęły wszystkie nasze myśli. To co usłyszałyśmy na zawsze zmieniło nasze patrzenie się na pewne sprawy i zjawiska. Ukazało historię w świetle nam dotąd nieznanym.

Tak wiele nauczyłyśmy się od naszych najbliższych! Opowiedzieli nam o tym, czego nie przeczytamy w żadnym podręczniku. Przemawia do nas ich subiektywne spojrzenie na problematykę przesiedlenia. Ciekawe wątki i zdarzenia wzbudzały w nas pragnienie dalszego poszukiwania.

Przy dokładnym wczytaniu się w relacje świadków odczuwamy właściwy koloryt i atmosferę tamtych czasów. Dzięki nim ujrzaliśmy prawdziwe oblicze tego, co było dotąd dla nas nieznanne.

Niechaj praca ta będzie pamiątką i wzruszeniem...

Karina Chochowska, Elżbieta Chomicz,
Wioletta Szostak, Joanna Zaremba



DRUŻYNA STANISŁAWA HOFFMANNA

Artykuł ten powstał w 1989 r. na podstawie prowadzonych na bieżąco notatek. Ma charakter na poły wspomnieniowy, co widać w jego stylistyce. Obecnie poddano go jedynie drobnym retuszom stylistycznym (m. in. dodano śródtytuły) i uzupełniono o pewne nazwiska za protokolarzem górowskiej „Solidarności”.

Pierwszy dzień drugiej „Solidarności”. 17 kwietnia 1989 r. w sądzie wojewódzkim w Warszawie nastąpiła relegalizacja „Solidarności”. 18 kwietnia 1989 r. w domu katechetycznym w Górze Śl. o godzinie 19³⁰ rozpoczęło się zebranie działaczy z dawnych komisji zakładowych, członków i sympatyków „S”. Księża podczas niedzielnych nabożeństw na prośbę Tymczasowej Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej „S” czytali komunikat zapowiadający to spotkanie. Cała sala oratorium wypełniła się zainteresowanymi, zajęli wszystkie miejsca siedzące, ale i tak sporo ludzi stało pod ścianami i w drzwiach. Zgromadziło się ponad 100 osób. Jednakże na pierwszy rzut oka to spotkanie przypominało zebranie klubu rencistów i emerytów, bo przeważali ludzie w podeszłym wieku. Na podwyższeniu stały krzesła przeznaczone dla organizatorów tego zgromadzenia, których nikt nie kwapił się zająć i do końca spotkania pozostały puste.

Pierwszy zabrał głos ksiądz proboszcz Ryszard Szkoła. Udostępnił salę, bo popiera wszystko to, co czyni się dla dobra ludzi. Zaproponował rozpoczęcie obrad od zmówienia modlitwy, choć się zastrzegł, że może wśród obecnych są niewierzący. Wszyscy jak jeden mąż wstali i pomodlili się w intencji powodzenia działań „S”. Następnie ksiądz zgromadzonych zostawił samych.

Zaczął mówić Bogdan Bujak{x "Bujak Bogdan"}. Oni, czyli organizatorzy tego spotkania, czują się reprezentantami „S” chrześcijańskiej i w przeciwieństwie do „S” lewicowej są za udziałem w wyborach do sejmu i senatu. Wyjaśnił, w jaki sposób powstała grupa, która zaczęła działać. Po prostu skrzyknęli się niektórzy działacze „S” z lat 1980-81. Terminy nagliły, więc wyprzedzając ponowną rejestrację „S” i bez społecznej akceptacji weszli w skład Komitetu Obywatelskiego w Lesznie (dopiero później pojawiła się nazwa Komitet Obywatelski „Solidarność”). Przedstawiono te osoby - Zenon Jachimowicz (którego ze względu na wyjazd do Wilna zastąpił Tadeusz Rolny), Henryk Choiński{x "Choiński Henryk"}, Bogdan Bujak i Michał Zaremba{x "Zaremba Michał"}. Komitet już wysunął kandydatów do sejmu i senatu. Jednym z nich został obecny na sali górowianin Stanisław Hoffmann. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że istnieje szansa, żeby nas reprezentował ktoś o znanym nazwisku. Rozważano kandydaturę prof. Stelmachowskiego.

Ci starzy działacze postanowili, że górowska „S” wejdzie w skład regionu leszczyńskiego. Województwo leszczyńskie powstało w 1975 r. w wyniku zmiany dotychczasowego podziału administracyjnego. Stanowiło sztuczny zlepek powiatów z różnych województw: Góra Śl. z województwa wrocławskiego, Wschowa – z zielonogórowskiego, Gostyń, Kościan, Leszno i Rawicz – z województwa poznańskiego.

Fakt włączenia Góry do województwa leszczyńskiego jej mieszkańcy odczuwali jako krzywdzący i niesprawiedliwy²⁰. Więcej ich dzieliło niż łączyło – różnice językowe, kulturowe, inne pochodzenie (większość mieszkańców byłego powiatu górowskiego to przesiedleńcy z kresów Rzeczypospolitej, stąd poznańskie przezwisko „zabugole” lub określenie Góry jako „Ukrainy”), przynależność do diecezji wrocławskiej. Nieprzemysłane decyzje nowych władz wojewódzkich także nie przysparzały jej sympatyków. W latach 1980-81 górowska „S”, jakby dając wyraz lokalnym sentymentom, należała do regionu Dolny Śląsk. Zenon Jachimowicz, wyprzedzając ewentualne zarzuty czy pretensje dotyczące przynależności regionalnej, krótko wytłumaczył, dlaczego Góra się podporządkowała Lesznu. Wrocław wiele pomógł w organizowaniu związku u nas, ale jednocześnie fakt przynależności do regionu dolnośląskiego utrudniał załatwienie różnych spraw. W Lesznie nikt nie chciał rozmawiać z ludźmi z Wrocławia. Urzędnicy mówili, że przecież u nich jest zarząd regionu, to dlaczego mamy rozmawiać z kimś obcym z Wrocławia. Wydawało się, że ludzie tę decyzję przyjęli bez protestów. Na tym tle wkrótce wyłonił się pewien problem. Komisja zakładowa z „Mery” nie chciała się zarejestrować w Lesznie, tylko we Wrocławiu, ostatecznie ich przekonano i weszli w skład regionu leszczyńskiego.

Potem mówiono o organizowaniu się związku w zakładach, rozdawano deklaracje. W PGR’ze Naratów „S” już się zawiązała. Ludzie chcieli wcześniej podjąć działalność, ale dyrektor zakładu im to wyperswadował. Na pytanie, w ilu zakładach organizują się komisje zakładowe, podniosło się 5-6 rąk. Starzy działacze tworzyli tymczasowy zarząd, do którego teraz dołączyli się nowi ludzie, przedstawiciele powstających komisji i chętni do pracy.

Na zakończenie zebrania rozdano poznańskie pisemko „Solidarność Walcząca” z artykułem Kornela Morawieckiego „Uwarunkowania i stan polskiej gry”. Jakoś organizatorom z „S” nie przeszkadzało to, że ten artykuł ma wydźwięk antywyborczy. Zbierano również datki na „S” i kampanię wyborczą. Ludzie dali ponad 20 tysięcy złotych. W oratorium zostali rolnicy na swoim zebraniu. W innym pomieszczeniu domu katechetycznego w tym samym czasie zebrała się Tymczasowa Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna „S” Ziemi Górowskiej, czyli władze nieformalnego tworu zwanego „Ziemią”, i uformowało się prezydium: Bogdan Bujak – {xe "Bujak Bogdan"}przewodniczący, Stanisław Hoffmann i Tadeusz Tutkalik – zastępcy, Mirosław Żłobiński – sekretarz, Irena Zielonkowska – skarbnik; trzeba przyznać, że skarbnik przez cały czas trwania kampanii wyborczej żelazną ręką trzymała kasę.

Kandydaci do Sejmu i Senatu. Nie przypuszczaliśmy, że z naszymi kandydatami będzie taka „kołomyja”. Nim Leszno przedyskutowało sprawę kandydatów, nim się odbyły spotkania w byłych miastach powiatowych, nim się dogadali działacze, inne województwa, gdzie „S” była słaba, wykazały się refleksem i 60 kandydatów z Warszawy o znanych nazwiskach zaprosiły do siebie, a dla nas już zabrakło kandydatów.

„Ziemię” na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego przedstawiły swoje kandydatury. Po żartej dyskusji i głosowaniu w dniu 21 kwietnia ustalono listę kandydatur – sejm: Adela Dankowska (Leszno) - znana szybowniczka i działaczka „S” w

²⁰ Często nawet w połączeniu z wydarzeniami, które potem nastąpiły, określa się go jako „rozbiór Góry”.

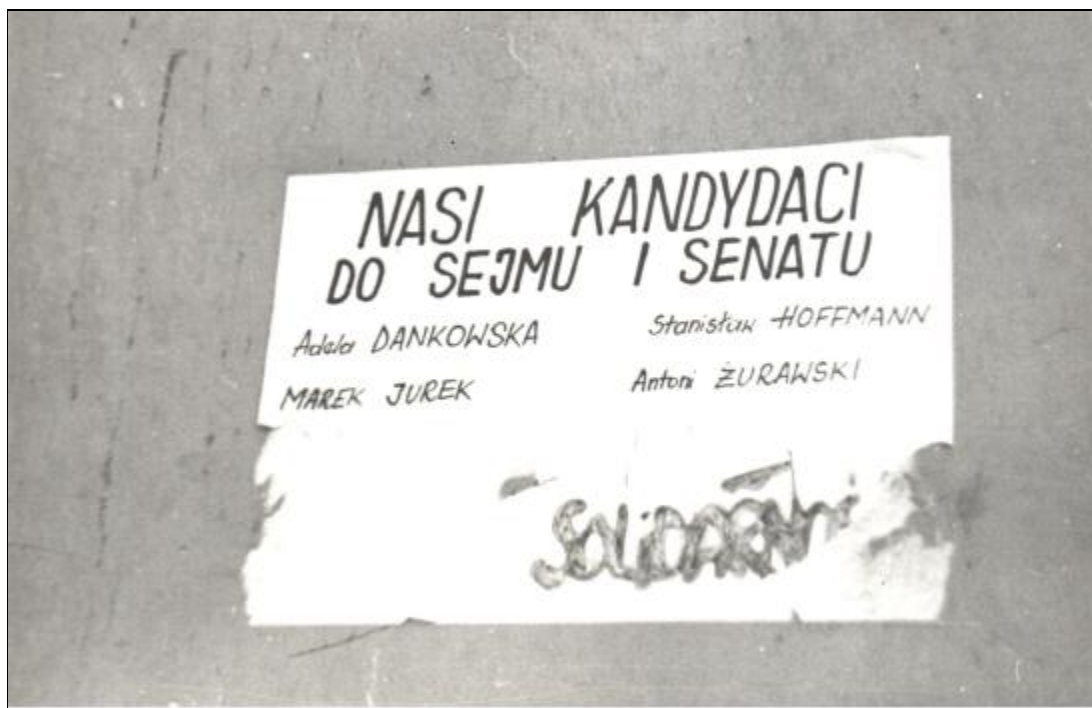
latach 1980-81, Marek Jurek (Poznań) – dziennikarz „Znaków Czasu”, przewodniczący Wielkopolskiego Klubu Politycznego „Ład i Wolność”; senat: Stanisław Hoffmann (Góra Śl.) – lekarz medycyny, działacz „S”, Eugeniusz Matyjas (Leszno) – przewodniczący Tymczasowego Zarządu Regionu „S”. Jedyne w tym gronie – w pewnym sensie – zawodowy polityk nie doczekał się zbyt wielu pytań dotyczących swojej działalności politycznej, jakoś to wyborców nie ciekawiło.

Po kilku dniach – 25 kwietnia – okazało się, że w Warszawie postawiono zastrzeżenia wobec osoby Matyjasa i on dla sprawy zrezygnował z kandydowania. Chodziło o podpisaną przez niego deklarację, że nie będzie występował przeciw rygorom stanu wojennego. Uznano to za błąd polityczny. Właściwym motywem podpisania tej deklaracji była obietnica władz, że wypuszczą pewnego działacza „S” z Rawicza, którego żona znajdowała się w bardzo ciężkim stanie. Deklaracja poszła w świat, ale nikogo nie wypuszczono.

Na wolne miejsce do senatu został wysunięty p. Brykczyński z Kościana. Działacze kościańscy na zebraniu Komitetu Obywatelskiego wysunęli największą liczbę kandydatów, ale żaden z nich nie przeszedł w głosowaniu, teraz też ich człowiek upadł. Podobno utracił go prof. Stelamchowski. Ostatecznie drugim kandydatem do senatu został szef „S” RI woj. leszczyńskiego – Antoni Żurawski. Pochodził z Żytomierszczyzny. Musiał dwukrotnie uciekać ze Związku Sowieckiego – raz podczas kolektywizacji Ukrainy, drugi raz po II wojnie światowej. 12 grudnia 1981 r. został wybrany szefem „S” RI w województwie. Swoją funkcję cieszył się dwie godziny, bo wprowadzono stan wojenny.

Obwodowe komisje wyborcze. Ponieważ do 10 maja prezydium rad narodowych miały powołać do życia obwodowe komisje wyborcze, należało jak najszybciej zgłosić osoby do pracy w tych komisjach. Mogły liczyć od 7 do 11 członków, więc nam, „S”, przysługiwały 2-4 miejsca. Lepiej byłoby od razu zgłosić więcej osób, żeby nagle przeistoczenie się siedmioosobowej komisji w jedenastoosobową nas nie zaskoczyło. Nie wiem dlaczego, ale zgłosiliśmy wyłącznie po dwie osoby. Według Hoffmanna sama obecność przedstawicieli „S” powstrzyma innych członków komisji przed próbą fałszowania wyników wyborów. Większość ludzi jednak nie podzielała tego optymizmu. W Górze zgłosiło się 45 osób obydwu „S”, robotniczej i rolniczej. „S” RI nawet skierowała do pracy w komisji wyborczej członka PZPR, ręcząc za jego lojalność. Na terenie gminy zwykle działało 18 obwodowych komisji wyborczych, po przydzieleniu dwu osób do komisji, zostali jeszcze chętni, w czasie wyborów pełnili funkcje mężów zaufania. W innych gminach, tworzących ongiś powiat górowski, sytuacja była gorsza. W Niechlowie, mającym opinię „czerwonego”, Tadeusz Tutkalik zajął się wyszukaniem osób do pracy w obwodowych komisjach wyborczych. W większości byli to ludzie z Góry. W Jemielnie i Wąsoszu zajęli się tym Mieczysław Borysowski i Henryk Choiński. Wsiedli w samochód i ruszyli w teren szukać ludzi. Po kilku dniach tamtejsze komisje zostały obsadzone. Niespodziewanie psikusa spletał przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Wąsoszu. Ograniczył do jednej osoby liczbę członków obwodowych komisji wyborczych wysuniętych przez „S”. Drugie miejsce, które chciała obsadzić „S”, przeznaczył dla takich „niezależnych” organizacji jak ZSMP, OPZZ, itd.

Początek kampanii wyborczej. Nie została wykorzystana szansa rozpoczęcia kampanii wyborczej w niedzielę 23 kwietnia. Na którymś zebraniu zarządu rzucono myśl urządzenia kwesty pod kościołem. Nie udało się zrobić na czas skarbonki. Dopiero 30 kwietnia Edward Zając, Jerzy Salmonowicz, Waleria Żygadlo²¹ stanęli na placu przykościelnym, oczywiście za zgodą księdza proboszcza, aby kwestować na fundusz wyborczy „S”. Na murze powieszono plakat informujący o kandydatach „solidarnościowych” do sejmu i senatu oraz hasło „Wyberzemy posłów i senatorów, którzy dopilnują naszych spraw”. Rozdawano lekko śmierdzące denaturatem ulotki wyprodukowane na powielaczu spirytusowym. Zainteresowanie było duże, momentami nie można było się dopchać do skarbonki. W tym dniu rozdano ok. 1 300 ulotek i zebrano ok. 106 tysięcy złotych. Następnego dnia, 1 maja, pojawiły się plakaty na tablicach i słupach ogłoszeniowych. Przez cały tydzień malował je redisówką Wiesław Żłobiński.



1989 Jeden z pierwszych plakatów, własnoręcznie wykonany przez W. Żłobińskiego.
Fot. Wiesław Żłobiński

Doszły już do Góry wiadomości, że w Rawiczu plakaty wyborcze „S” zrywali milicjanci w cywilu. Ludzie byli przekonani, że tu będzie to samo, toteż plakaty wieszano możliwie wysoko i starannie przyklepiano, by utrudnić zrywanie. Znaleźli się jacyś smarkacze, próbujący, raczej bez motywów politycznych, zrywać te plakaty, ale ludzie zachowali się wspaniale i przegonili tych niszczycieli. Czas plakatowania też nie był przypadkowy. Kalkulowano, że w obecności tłumu zgromadzonego w związku z uroczystościami pierwszomajowymi nikt się nie odważy zrywać plakatów.

²¹ Protokolarz „S”: zebranie zarządu z 25 kwietnia 1989 r.

7 maja odbyła się kwesta pod kościołem w Czerninie, wiosce w pobliżu Góry. Zebrano ok. 25 tysięcy złotych. 14 maja ponowna zbiórka w Górze, tym razem kwestujący – Irena Zajączkowska, Alfreda Kłakowa, Krystyna Mrajska, p. Górski, Jan Czołowski, Mirosław Żłobiński – dysponowali drukowanymi ulotkami, większość z nich miała taki format, żeby je można było włożyć do dowodu osobistego i posłużyć się nimi jako ściągami w lokalu wyborczym. Zebrano ok. 48 tys. złotych. Na widok kwestujących i rozdających ulotki ludzie różnie reagowali. Można było wyczuć zaskoczenie, jeszcze w dziejach PRL'u nikt tak nie prowadził kampanii wyborczej, ale i zaciekawienie. Przytłaczająca większość brała ulotki i w zasadzie ich nie wyrzucała, bo tylko raz je znaleziono rozrzucone na ulicy. Niektórzy, odosobnione wypadki, reagowali niechętnie. Ktoś powiedział, że nie po to ciężko pracował, żeby teraz pieniądze rozdawać. Ktoś inny warknął, że idzie do kościoła, a nie żeby brać ulotki. Szczególnie rozczulające było, gdy starsze kobiety dawały 20 czy 50 złotych i mówiły, że popierają „S”, ale po co te karteczki. No i tłumaczono im.

„Cegielki”. W dniu 24 kwietnia dotarł do Góry pierwszy rzut „cegiełek” na sumę 150 tysięcy złotych (łącznie dostaliśmy do rozprowadzenia „cegiełki” wartości 400 tysięcy złotych), wartość każdej wynosiła 500 złotych. Były one rozprowadzane w zakładach pracy i na różnych imprezach wyborczych, ale mimo starań ludzi w to zaangażowanych poszły „cegiełki” na kwotę 359 tysięcy złotych. Pieniądze uzyskane w ten sposób odprowadzaliśmy do Leszna, z tego 30% szło do Warszawy. Po przedstawieniu rachunków Komitet Obywatelski „Solidarność” w Lesznie zwracał poszczególnym „ziemiom” wydane pieniądze. Ponieważ wszystko staraliśmy się robić jak najoszczędniej, w razie konieczności płaciliśmy pieniędzmi z kwest, rachunków nie mieliśmy za dużo.

Zbieranie podpisów. Od dnia 27 kwietnia rozpoczęliśmy zbieranie podpisów na naszych kandydatów. Góra dostała 10 upoważnień dla osób zbierających podpisy. Zostały one rozdzielone między przedstawicieli największych zakładów (na skalę Góry) takich jak cukrownia, „Mera”, GS, mleczarnia, Zakład Budownictwa, PKS, ZOZ, PUT i in.:

1. Teresa Łuszczyńska – OSM
2. Jerzy Salmonowicz – PKS
3. Józef Mikuś – GS
4. Tadeusz Rolny – cukrownia
5. Bronisława Demkowicz – ZOZ
6. Henryk Kospiczewicz – „Mera-Elwro”
7. Bogdan Symulewicz – Zakład Budownictwa
8. Kazimierz Bogucki – PUT
9. Ryszard Górski – ZR Naratów
10. Mieczysław Borysowski – PPZ Niechlów.²²

Starano się, żeby upoważnienie dostały osoby, które mają kontakt z dużą liczbą osób.

²² Protokolarz „S”: zebranie zarządu z 27 kwietnia 1989 r.

Do każdego imiennie wypełnionego upoważnienia dodawano 10 odpowiednio przygotowanych kartek. Długo i starannie wyjaśniano, jak należy te listy wypełniać. Osoba popierająca naszego kandydata składała tylko swój podpis – resztę – imię i nazwisko, adres, numer dowodu osobistego – wpisywał zbierający podpisy. Wielu ludzi miało wątpliwości, czy SB nie przejmie tych list i nie będzie represjonować osób, które się na nich znalazły. Przypominano zbierającym podpisy, że każdy obywatel, mieszkaniec województwa leszczyńskiego, może złożyć wyłącznie podpisy na 4 kandydatów. Po złożeniu list numery dowodów osobistych zostaną sprawdzone przez komputer, żeby wyeliminować ewentualne nadużycia, stąd musimy na wszelki wypadek zebrać więcej podpisów niż wymagane 3 tysiące. 30 kwietnia księża na prośbę Tymczasowej MKK „S” ogłosili, że codziennie po południu (od godz. 17.00) w domu katechetycznym można składać podpisy na kandydatów „S”. Do trzeciej zbierano podpisy w zakładach pracy, po piątej – w domu katechetycznym. Najwięcej ludzi przychodziło przed lub po mszy, nawet ustawiały się kolejki, tylu było chętnych. Doszło do tego, że czas tych dyżurów przedłużono, żeby wszystkim zainteresowanym umożliwić złożenie podpisu. Najwięcej osób było w średnim lub podeszłym wieku. Do niektórych osób nie docierały żadne argumenty, dlatego mają poprzec kandydatów „S”, dopiero hasło „ciąć czerwonych!” wszystko wyjaśniało i ochoczo się podpisywały. 7 maja zakończyliśmy tę akcję, zebraliśmy, my i rolnicy, ok. 2 100 podpisów. Dalszy ciąg według miejscowej gazetki „Solidarność Leszczyńska” (nr 4 z 17 czerwca 1989 r.): *„10.05 zosta/y zg/oszone do Okręgowej i Wojewódzkiej Komisji Wyborczych w Lesznie kandydatury KO”S” (w obu Komisjach zosta/y one odrzucone z uzasadnieniem, że KO”S” nie jest uprawniony do zg/aszania kandydatów), zosta/y zg/oszone przez 3 osoby wprowadzające, i tylko na skutek pismnego o/wiadczenia kandydatów przy ich nazwiskach będzie widoczne określenie, że są kandydatami KO”S”. Na listy kandydatów KO”S” w naszym Regionie zebrano: na listę p. A. Dankowskiej (mandat 214) – 11.587 podpisów, na listę p. M. Jurka (mandat 215) – 11.752 podpisy, na listę p. A. Żurawskiego – 11.514 podpisów, i na listę p. S. Hoffmanna – 11.303 podpisy”.*

Kampania wyborcza. Po mocnym uderzeniu propagandowym 30 kwietnia i 1 maja dalszy ciąg nastąpił ok. 9 maja. Dostaliśmy 100 plakatów regionalnych z Leszna zawierających nazwiska kandydatów i ich biogramy. Poszły do zakładów pracy i witryn sklepowych. Naczelnik Jan Osuch załatwił nam pozwolenie na umieszczanie plakatów w sklepach, bo nadal baliśmy się zrywania. Zresztą naczelnik wielokrotnie szedł nam na rękę. Szybko dostaliśmy pomieszczenie na swoją siedzibę. Wcześniej zebrania dzięki życzliwości Zdzisławy Ziółko odbywały się w bibliotece liceum ogólnokształcącego. Zawsze w pobliżu kręcili się milicjanci. Naczelnik również opłacił zainstalowanie aparatu telefonicznego i rachunek za rozmowy prowadzone w czasie kampanii wyborczej. Kilkakrotnie interweniował na naszą korzyść. W niektórych sklepach mimo protekcji naczelnika odmawiano umieszczenia plakatu, ale w większości znalazły się na wystawach. Kilka po pewnym czasie przepadło bez śladu, ale parę dotrwało aż do drugiej tury wyborów. Następnie kanałami prywatnymi zdobyliśmy z Wrocławia trochę plakacików z palcami w znaku zwycięstwa, dopisaliśmy pisakiem nazwiska kandydatów i rozlepiliśmy w mieście. Kolejną partię materiałów propagandowych dostaliśmy 13 maja – plakaty >Głosuj na „Solidarność”<, ulotki, nalepki oraz materiały lokalne – ulotki formatu dowodu osobistego z nazwiskami kandydatów, które przeznaczyliśmy na kwestę pod

kościółem, i broszury z programem KO”S”. Był to pomysł Kościana i on załatwił ich druk w Poznaniu. Na plakatach >Głosuj na „Solidarność”< przy pomocy szablonu dopisaliśmy nazwiska naszych kandydatów. Cudowną bronią propagandową okazały się nalepki. gdzie nie mogliśmy dotrzeć w inny sposób, robiliśmy to nalepkami. Szybko zorientowaliśmy się, że wystarczy je rozdać dzieciom, a one je wszędzie porozlepiają. Aby każdy mógł wejść o dogodnej dla siebie porze i pobrać materiały propagandowe, w czasie kampanii wyborczej dzień w dzień (oprócz niedziel) dyżurowali Włodzimierz Mrajski, Konstanty Zielonkowski (obydwaj swego czasu byli członkami AK na Wileńszczyźnie) oraz Karol Smykla. 26 i 27 maja dotarły plakaty ze zdjęciami kandydatów z Lechem Wałęsą, w parę dni później następne plakaty. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiego potopu materiałów propagandowych. Sądziłem, że bardziej musimy polegać na własnych siłach, a tu nastąpiła taka powódź, że kilka dni przed wyborami cała siedziba „S” była nimi zawałona i mimo ciągłego nalepiania na tablicach, słupach i murach, prawie nie było widać, żeby ich ubywało. Zrazu lepiono je od przypadku do przypadku. Te osoby, które miały czas, brały plakaty i szły na miasto. Głównym motorem tej akcji był Tadeusz Tutkalik, dzielnie mu sekundował Michał Zaremba. Wkrótce się okazało, że nasze plakaty są zrywane. Początkowo sądziliśmy, że to robota jakichś smarkaczy, którzy wcześniej zrywali klepsydry i ogłoszenia, teraz zaś dobrali się do naszych plakatów, potem jednak musieliśmy uznać, że to celowa robota. Gdzieś od 21 maja pojawiły się pierwsze plakaty „koalicyjne”. Z „koalicji” pierwsze ZSL przystąpiło do kampanii wyborczej. Część plakatów była lepiona byle jak i ledwo się trzymała tablic. Nikt ich nie ruszał, dyndały na wietrze i jakoś nie mogły skusić zrywaczy. Nasze, solidnie przyklepione, były nagminnie zrywane. Udało się kilku takich „specjalistów” od kampanii wyborczej przylapać na gorącym uczynku. Jeden nawet był sekretarzem jakiejś tam organizacji partyjnej. Po interwencji u naczelnika delikwent zadzwonił do „S” i przeprosił oraz oświadczył, że więcej się takie incydenty nie powtórzą. Jednak przez cały czas trwania kampanii wyborczej różne wypadki się zdarzały. Gdy zwróciliśmy się o pomoc do Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych, to nam powiedziano, żebyśmy robili to samo, ale z takiej rady nie skorzystaliśmy. Nam nie było wolno zalepiać państwowych płotów, bo musielibyśmy je odmalować, toteż w takich miejscach staraliśmy się nasze plakaty przybijać pinezkami. Efekty były mizerne. Te plakaty nie wisiały długo. Już po godzinie czy dwu ich strzępy wały się po chodnikach i jezdni. „Koalicja” nie miała takich zahamowań jak my. Lepiła gdzie się dało, mur nie mur, płot nie płot, plakat nie plakat, nawet przykleili swoje plakaty na murze publicznego szaletu. Tuż przed dniem wyborów kampania wyborcza osiągnęła apogeum. Większość wystaw sklepowych obwieszono plakatami różnych kandydatów. Nasze były obecne, ale ginęły w powodzi innych. Za to zdecydowanie górowaliśmy nad naszymi przeciwnikami wyborczymi na murach i płotach. Utworzyła się grupka młodzieży, która dzień w dzień szła rozlepiać plakaty. W tym czasie dźwigała na swoich barkach cały ciężar plakatowania. Dochodziło do sympatycznych przejawów pomocy. Do „S” zgłosił się jakiś mężczyzna i zaproponował, żebyśmy oblepili fasadę jego domu. Gdy plakatujący przyszli, dał im nawet drabinę. Od siebie jeszcze powiesił białoczerwoną flagę. W efekcie cała fasada domu została pokryta plakatami.

Mocne zakończenie kampanii wyborczej. Na początku maja z inicjatywy Góry na posiedzeniu KO”S” po długich targach i dyskusjach ustalono rozkład spotkań przedwyborczych. Nie chcieliśmy dopuścić do tego, aby kandydaci jeździli 30-40 kilometrów na spotkanie z dwudziestoma kilkoma osobami, żeby organizatorzy mieli czas na przygotowanie się, a zwłaszcza na poinformowanie lokalnej społeczności o imprezie. Jedynie my postanowiliśmy urządzić dla kandydatów w jednym dniu cykl spotkań na terenie byłego powiatu górowskiego. Inni tego, nie wiem dlaczego, nie podchwycili, choć przecież ponad 50% wyborców mieszka na wsi. Od razu się dowiedzieliśmy, że Adela Dankowska nie będzie w naszych imprezach mogła wziąć udziału. Zaplanowano je na 28 maja, a ona wtedy będzie brała udział w szybowcowych mistrzostwach Polski.

Tydzień przed pierwszą turą wyborów, 28 maja, o godz. 9.00 rozpoczął się objazd miejscowości byłego powiatu Góra Śląska: Czernina, Chróścina, Naratów, Żuchłów, Luboszyce, Jemielno, Wąsosz. Na czele kawalkady samochodów jechał motocykl z flagą „S”, za nim nyska oblepiona plakatami z aparaturą nagłaśniającą, dalej kolumna samochodów. Tu trzeba wspomnieć, że właściciel tej nyski, Antoni Siomiak, bardzo chętnie ją użyczał na potrzeby kampanii, jedynie musieliśmy mieć swoje paliwo.



28 maja 1989 Pochód do amfiteatru. Fot. Leszek Witko

O godz. 15.00 rozpoczęła się msza św. w intencji Ojczyzny, przyszło nadspodziewanie dużo ludzi, kościół wypełnił się wiernymi jakby to było zwykłe niedzielne nabożeństwo. Kandydaci przepasani biało-czerwonymi szarfami, księża, ministranci, delegaci „ziem”, wszyscy poprzedzani krzyżem niesionym przez ministranta, uroczystie przeszli przez kościół. Za nimi kroczyli ludzie z biało-czerwonymi i „solidarnościowymi” flagami. Kandydaci i Eugeniusz Matyjas (występujący w imieniu

nieobecnej Adeli Dankowskiej), Zdzisław Drost, prezes KO"Ś" w Lesznie, Bogdan Bujak, szef górowskiej „S”, Tadeusz Tutkalik, odpowiedzialny za kampanię wyborczą naszej „ziemi”, zasiedli w pierwszych ławkach. Po bokach ołtarza półkolem stanęli ludzie z flagami. Kazanie, mocno krytyczne wobec „dorobku” kilkudziesięciu lat PRL, wygłosił ksiądz proboszcz. Wcześniej planowano po tej mszy pochód ulicami miasta do amfiteatru, gdzie się miało odbyć spotkanie z kandydatami. Obawiałem się, że będzie zbyt mało ludzi i taki pochód skompromituje organizatorów. Inne osoby, m.in. Stanisława Hoffmanna, nurtowały podobne wątpliwości, toteż zrezygnowano z realizacji tego projektu. Jednak po mszy za kandydatami i ludźmi niosącymi flagi spontanicznie utworzył się wspaniały pochód. Na jego trasie wisiały kościańskie transparenty: >Głosując na „Solidarność” czynisz pierwszy krok ku wolności – 4 czerwca< i >Chcesz poprawić polski los, na „Solidarność” oddaj głos<.



28 maja 1989 Amfiteatr. Fot. Leszek Witko

Liczba osób w amfiteatrze przeszła najśmielsze oczekiwania. Wszystkie miejsca siedzące zostały zajęte, na koronie stały tłumy, na trawnikach w pobliżu sceny gromadziły się liczne grupy ciekawskich. Według moich ocen przyszło grubo ponad tysiąc osób, a Góra liczyła tylko 12 tysięcy mieszkańców. Matyjas uznał, a może tylko w ten sposób komplementował publiczność, że nasz mityng zgromadził największą liczbę ludzi w całym województwie leszczyńskim. Na scenie amfiteatru grał już zespół muzyczny, umilając czas oczekiwania na rozpoczęcie imprezy. W tle miał płótno z namalowanym orłem w koronie i napisem „Solidarni z Bogiem”; napis ten był pierwotnie przeznaczony do dekoracji ołtarza, który przygotowywała „S” na Boże Ciało. wszędzie, gdzie się dało, zostały pomieszczone plakaty wyborcze i flagi. Po bokach sceny zostały rozpięte transparenty „S” RI Ziemi Górowskiej i „S” RI województwa

leszczyńskiego. Za amfiteatrem stały samochody z bufetem. Sprzedaż piwa została później skrytykowana jako nie licząca z godnością tej imprezy. W pobliżu sceny Konstanty Zielonkowski i Mirosław Żłobiński sprzedawali znaczki „S” (poszło 230 sztuk) i wydawnictwa drugiego obiegu, prawdopodobnie pierwszy raz publicznie w Górze. Wydawnictwa te dostaliśmy w komis od wrocławskiego NZS’u. Największym powodzeniem mimo wysokiej ceny cieszyła się paryska „Kultura”. K. Zielonkowski dodatkowo rozprowadził „cegiełki” za sumę 28 tysięcy złotych.



28 maja 1989 Amfiteatr. Od lewej: Antoni Żurawski, Stanisław Hoffmann, Marek Jurek, Eugeniusz Matyjas
Fot. Józef Procków

Każdy kandydat krótko przedstawiał swój program wyborczy, prezentacje były przerywane występami różnych artystów, a to „soltysiem z Zaborowa” (lokalny soltys Kierdziołek), a to piosenkarza studenckiego z Wrocławia. Jeszcze wczoraj wyglądało, że wystąpi amatorski zespół folklorystyczny „Starogórowianki”, ale część pań – członkiń zespołu została nastrazona i jednocześnie przekupiona obietnicą wycieczki do NRD, więc ich występ nie doszedł do skutku.

Potem nadszedł czas na pytania. Zrazu chciano, żeby ludzie je zadawali na papierze. W śróde na placu Bolesława Chrobrego odbył się wiec kandydatów „koalicyjnych”. Rozstawiono kilka bud z atrakcyjnymi towarami, m.in. sprzedawano książkę Jerzego Kosińskiego „Malowany ptak”. Wywieszono czerwony transparent z napisem „Głosuj na koalicję”. Zwieziono z tuzin kandydatów. Zachęcano, żeby po wystąpieniu każdego kandydata zadawać pytania. Gdy większość pytań okazała się co najmniej nieprzyjazna, starano się ludziom wyperswadować w ogóle zadawanie pytań, bo mało czasu. Pod koniec imprezy Tadeusz Tutkalik zaprosił na nasz mityng przedwyborczy kandydatów SD do senatu. Teraz organizatorzy mityngu zaczęli się bać,

żeby konkurenci do senatorskich foteli nie zaczęli mieszać, stąd pomysł z zadawaniem pytań na papierze. Szybko jednak z niego zrezygnowano i chętnych dopuszczono do mikrofonu. No i dorwali się do niego goście z SD. Jeden z nich zachęcał, żeby zaprzestać rozpamiętywanie Katynia i zabrać się do spłacania długów zagranicznych. Inny zachęcał, żeby oddawać głosy na kandydatów SD, bo oni walczą o prawa Polonii [!] w Związku Radzieckim. Któryś z nich rzucił hasło, żeby głosować na demokratów, w domyśle – na nich. Nasi kandydaci dali im odpór, co spotkało się z aplauzem widowni. Jeszcze znaleźli się inni ochotnicy do zadawania podchwytliwych pytań, ale z nimi także kandydaci się uporali. Zresztą trzeba przyznać, że te polemiki nadały swoistą dramaturgię mityngowi i bez nich całe to spotkanie byłoby nieciekawe. Impreza skończyła się o siódmej wieczorem, zostali tylko miłośnicy piwa i waty na patyku.

Wybory. 4 czerwca o godz. 5.00 stawiliśmy się w siedzibach obwodowych komisji wyborczych, nasi ludzie, którzy zostali przewodniczącymi, było kilka takich przypadków, musieli przybyć jeszcze wcześniej. Byłem członkiem obwodowej komisji wyborczej nr 2 i obserwacje poczynione w trakcie jej pracy posłużyły do opisu tego dnia. Po otrzymaniu kart do głosowania, policzyliśmy je. Dziwne, ale ich liczba się nie zgadzała, do tego niektóre były niezadrukowane. Przed godz. 6.00 zamykamy urnę. Zalecenie ze szkolenia „Solidarnościowego”, żeby nie dopuścić do odbicia pieczętka na płótnie dekoracyjnym urny, nie da się zrobić. Po prostu tej pieczętka nie można gdzie indziej odcisnąć. Z podobnych względów swoimi paskami papieru nie plombujemy urny. O godz. 6.00 stawiają się mężowie zaufania, pierwsi są ci z PZPR'u. Członkowie prezydium komisji siedzą w kącie przy osobnym stole i nie zajmują się wydawaniem kart do głosowania, pozostali członkowie komisji robią to na zmianę. Staramy się, żeby przy wydawaniu zawsze był jeden członek „S”. Początkowo ruch słaby. Przychodzą pojedyncze osoby. Nawet pierwsze msze nie poprawiają frekwencji, choć według starych wyjadaczy najczęściej wyborców przychodzi, wracając z kościoła. Dziś jest inaczej. Około dziesiątej zaczął się większy ruch, który z prawie takim samym natężeniem trwał do piątej-szóstej, tylko momentami mimo posiadania pięciu kabin tworzyła się kilkusobowa kolejka. Tuż przed zamknięciem lokalu wyborczego przyszła staruszka z wnuczkiem. Ona niemal niewidoma, toteż dziecko ma jej pomóc skreślać. Chłopczyk powiedział, że już głosował z mamą i wie co trzeba robić.

O godz. 22.00 rozpoczynamy liczenie. Najpierw mój kolega zalepia paskami papieru otwór wlotowy urny. Szybko i sprawnie radzimy sobie z głosami na kandydatów do Sejmu, gorzej idzie z Senatem i listą krajową. Wbrew zaleceniom naszych wytycznych dzielimy się na dwie grupy, w każdej ktoś z „S”. W jednej obwodowej komisji wyborczej członkowie „S” uparli się, żeby wszystko liczyć po kolei bez żadnych ułatwień i uproszczeń, mając ok. 1 600 wyborców, z których przyszło 900, liczyli do poniedziałkowego południa. Na szkoleniu zorganizowanym przez radę narodową jakaś kobieta psioczyła na kolejność liczenia i sugerowała, żeby każda komisja to sobie uprościła, bo nad liczeniem zastanie nas świt. My, ludzie z „S”, nie wierzyliśmy jej, ale wyszło, że miała rację. W Górze w zasadzie jeden mąż zaufania przypadła na dwie komisje i w zależności, gdzie będzie gorsza sytuacja, tam będzie asystował przy liczeniu głosów. Mąż zaufania przydzielony do nas poszedł na łatwiznę i wybrał komisję, gdzie jest mniej wyborców, czyli nas. A potem nad ranem poszedł sobie do domu, żeby się

przespać przed pójściem do roboty. Za to niektórzy członkowie komisji wyborczej wprost deklarowali swoje sympatie do kandydatów „S”. Jeden z nich ostrzegał mnie przed innym członkiem komisji, bo to „zażarty czerwony”.

Wyniki. We wtorek nastąpił szok. Niby wygraliśmy w obwodach wojskowych, w szpitalu psychiatrycznym, wydawało się, że jest dobrze, a tu... Jurek i Dankowska nieznaczną ilością głosów przeszli, ale Hoffmann i Żurawski muszą uczestniczyć w drugiej turze wyborów. Jesliby tylko brać pod uwagę wyniki wyborów z Góry Śl., Wąsosza, Niechlowa i Jemielna, czyli gminy z dawnego powiatu górowskiego, to Dankowska, Jurek i Hoffmann bez najmniejszych kłopotów weszliby do parlamentu, żaden z nich nie zeszedł poniżej 60% głosów; jedynie z Żurawskim gorzej, tylko w Jemielnie zdobył powyżej 50% głosów.

Te liczby podaje, polemizując z zaliczeniem całego województwa leszczyńskiego do grupy dwu województw, w których najmniej oddano głosów na „S”. Jesliby całe województwo leszczyńskie głosowało tak, jak były powiat górowski (za podstawę porównania wzięto wyniki Stanisława Hoffmanna w Wąsoszu), uplasowałoby się w grupie województw takich jak poznańskie, warszawskie, wypadłoby lepiej niż zielonogórskie, ale gorzej niż legnickie czy wrocławskie.

Druga tura. Podczas omawiania wyników wyborów doszliśmy w Górze do kilku wniosków, które chcieliśmy narzucić działaczom leszczyńskim do realizacji, ciągle narzekającym na brak pieniędzy. Oni na to potulnie przystali. Zwrócić się o pomoc do Warszawy, Wrocławia i Poznania. Pikietować lokale wyborcze. Postanowiliśmy także udzielić niektórym miejscowościom pomocy. Pojadą tam od nas grupy propagandowe, jeśli zostaną zwrócone pieniądze za paliwo. Nasze grupy odwiedziły Bojanowo, Poniec, Rawicz, Śmigiel, Kościan.

Zdecydowaliśmy się ograniczyć plakatowanie. Po pierwszej turze wyborów niemal ze wszystkich wystaw sklepowych zniknęły plakaty, nasze i „koalicyjne”. Jednak gdy przyszły nowe, grupy plakatujące na nowo nimi pokryły słupy, tablice ogłoszeniowe, mury i płoty. Brakowało jednak tej werwy, co przed pierwszą turą wyborów. Nasi konkurenci na łamach „Trybuny Ludu”, zresztą w bardzo wyważonym artykule, deklarowali się, że nie będą już prowadzić wojny plakatowej, ale w tym samym dniu pojawiły się ich ulotki i plakaty z balamutnym hasłem „Nie daj się nikomu zastraszyć”. W kilka dni później partyjni rozlepiacz ulotką jednego z kandydatów partyjnych zaklejał na plakatach głowę Hoffmanna. Ktoś inny na dworcu PKS'u zniszczył tablicę wykonaną społecznie przez stolarza-sympatyka „S”, potem niszczyciel musiał ją na własny koszt naprawiać. ZSMP groził sądem za rozwieszanie plakatów w niewłaściwych, według tej organizacji, miejscach.

11 czerwca Bogdan Bujak i Wiesław Żłobiński pod kościołem rozdawali „ściagi”, jak sympatycy „S” powinni głosować. Mało kto je brał, odpowiadali, że wiedzą jak głosować. Poniekąd prawda, bo wygraliśmy.

Jak się można było spodziewać, przyszło o wiele mniej ludzi; w mojej obwodowej komisji wyborczej frekwencja wynosiła 55%, ale też doczekaliśmy się miłych niespodzianek. Zjawilo się kilkanaście osób, które nie uczestniczyły w głosowaniu w pierwszej turze wyborów, Hoffmann uzyskał 17 głosów więcej, a Żurawski aż 80.

Wiele czasu poświęciliśmy na rozważanie dlaczego w województwie leszczyńskim doszło do drugiej tury wyborów. Oczywiście nikt nie potraktował poważnie stwierdzenia „Gazety Wyborczej” (nr 24), że wystawienie 14 kandydatów przez „koalicję” było jedną z przyczyn klęski wyborczej w dniu 4 czerwca. Prosta arytmetyka wskazuje że duża ilość „koalicyjnych” uratowała nas od jeszcze gorszej klęski (i kompromitacji). Według prowizorycznych obliczeń w wyborach do Senatu na „koalicję” padło 110 tysięcy głosów, na „S” – 120 tysięcy. Jesliby się głosy „koalicyjne” zblokowały na mniejszej liczbie kandydatów... to dreszcz mnie przenika. Część działaczy górowskiej „S” twierdziła, że po prostu tam, gdzie padło mało głosów na „S”, brakowało chętnych do społecznej pracy – do wieszania plakatów, pisania obwieszczeń, organizowania mityngów. Można było przejechać przez znaczną część województwa i nie dostrzec ani śladu plakatu wyborczego. Na to się nałożyła słabość „S” RI. Byłem w grupie propagandowej, która odwiedziła Kościan przed drugą turą wyborów. Tam pilnowali, żeby kawa nie wystygła, a u nas nawet nikt nie pomyślał o jej zaparzeniu. U nas duch walki, u nich – duch urzędowania. Do tego szafowali ulotkami, wyrzucając je z jadącego samochodu. Niektóre osoby jeszcze tłumaczyły klęskę w pierwszej turze animozjami regionalnymi. Województwo leszczyńskie mimo 14 lat istnienia stanowiło sztuczny twór, mechaniczny zlepek powiatów. Sympatii też nie budziła rozbudowa Leszna kosztem innych gmin.

Mirosław Żłobiński

W kolejnym numerze „Kwartalnika Górowskiego” jako uzupełnienie tego artykułu podamy wyniki z terenu obecnego powiatu górowskiego.

JAKUB KORTHALS

Jest absolwentem górowskiego liceum, które ukończył w 1993 roku. Studia z biotechnologii rozpoczął na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie studiował przez trzy lata, zaś dyplom magisterski zdobył w Akademii Rolniczej. Nie pracował nigdy w zawodzie, bo nie może w nim znaleźć pracy, chociaż należy do ludzi pracowitych i od trzeciego roku studiów dorabiał. Teraz jest zatrudniony w Polskiej Telefonii Cyfrowej.

Pisze od dawna, od czasów szkoły podstawowej, zaczynał od pisania polskich tekstów do piosenek angielskojęzycznych i często zapisywał słowa na tablicy, żeby uniknąć pytania, ratował w ten sposób klasę i siebie. W liceum nie ujawnił swojej pasji, a na studiach pisał teksty do kabaretów studenckich i występował. Na konkurs napisał sztukę dla teatru Ochota pt. „Marianna”, jest to opowieść o współczesnym kopcuszu, praca ta dostała pozytywne recenzje.

Jego utwory poetyckie są niezwykle ciepłe, refleksyjne o zabarwieniu filozoficznym, odzwierciedlają bogate życie wewnętrzne autora, świat bliskich mu doznań i przeżyć. W centrum Jego zainteresowań była i jest piosenka poetycka, zafascynowany jest Agnieszką Osiecką, którą odkrył w czasach studenckich. Marzy o tym, by jego poezja znalazła odtwórców, by ją śpiewano; poszukiwania uznanych nazwisk świata muzycznego nie dały efektu, zbywano Go obietnicami. Szuka więc młodych śpiewających ludzi, dla których chciałby pisać. Aktualnie nawiązał kontakt z Karoliną Kasper – szukają kompozytora dla jego tekstów, odezwała się też pani Anna Majkut z zespołu Spirituals Singers Band, z którą chciałby zrobić wspólny recital. Ma też na uwadze kontakt ze znanym w Poznaniu klubem jazzowym Piwnica 21, w którym występuje Paweł Baranowski, gdzie raz na dwa miesiące są spotkania kabaretowe.

Cieszą Go spotkania autorskie; tak się dziwnie składa, że w Górze nie miał żadnego, ale po sąsiedzku w Rawiczu dwa. Pierwsze miało miejsce na „Wieczorze księżycowym” poświęconym poezji śpiewanej, gdzie części programu były przeplatane jego wierszami. Drugie miało charakter typowego wieczoru autorskiego pod tytułem „Nie odkładaj na później życia” i było to połączenie muzyki, ruchu i wizualizacji – jednym słowem był to spektakl, z którym wykonawcy byli zapraszani do różnych domów kultury i uczestniczyli jako Stowarzyszenie Animatorów Kultury Akimra i Teatr bez nazwy w konkursie, zdobywając główną nagrodę.

Ma na swoim koncie wydany przez kanadyjskie wydawnictwo MIXER tomik poezji zatytułowany „Nie odkładaj na później życia...”, który jest efektem publikowanych w internecie utworów, gdzie wytropił Go Bogdan Gajewski związany z wydawnictwem i czasopiśmie MIXER.

Cieszy Go bardzo ostatnie wyróżnienie z lipca tego roku w konkursie poświęconym Agnieszce Osieckiej, na który wysłał wiersz „A życie trwa”. Organizatorem konkursu był portal internetowy i Fundacja Batorego.

Marzy o tym, by Jego utwory znalazły dobrych kompozytorów i wykonawców, chciałby nawiązać kontakt z Laskowikiem i myśle że normalnie po ludzku, choć nic o tym nie mówi marzy, jak każdy artysta o sławie, czego mu z całego serca życze.

Zofia Hanulak

Historia niedokończona

Żegnałaś mnie wtedy
białą chustką
i lzy ci ciekły po policzkach.
Patrzyłaś jak tamte
radosne chwile
odeszły w białych bryczkach.

Trzymałaś w swym ręku
rózaniec z jarzębin
i próżne wszczynalaś rozmowy.
Ja nigdy nie bałem się
szczytów i głębin
a wtedy już byłem gotowy.

Wierzyłaś, że kiedyś
powrócą te lata
i śniegu znów będzie po kostki.
Że znów będzie zupa,
kominek i chata
i dwa bardzo chude wyrostki.

I przyszło ci czekać
jak bywa to w życiu,
gdzie wdowy czekają na próżno.
A ja gdzieś tam w świecie,
w zimowym okryciu
wracałem do siebie zbyt późno.

I wiążą się końce
i gubią początki,
już nie mam ja siły na listy.
Uciekły cichutko
romanse i wątki
i obraz twój stał się przejrzysty.

Gdy wtedy płakałaś,
gdy darmo się balaś,
myślałaś, że twarde mam serce.
Lecz ty mnie mammo
naprawdę nie znałaś
a dziś już znalazłem swe miejsce.

Chciałbym napisać wiersz

Chciałbym napisać wiersz,
piękny wiersz o miłości.
Gdzie będziesz ty, ja i drzewa,
gdzie słowik będzie śpiewał,
zawieje dla nas wiatr,
otworzy okno świat.

I będzie chciało nam się żyć
na przekór tym co życzą źle,
i będzie chciało nam się iść
ze złotym słońcem gdzieś tam w tle.

Czasem zapuka ktoś do drzwi,
na imieniny przyjdzie ktoś.
Niech głupi czas z nas sobie drwi,
to jego sprawa, jego złość.

Na cichych łąkach sobie śpią
maleńkie łódki naszych serc.
W tej pierwszej dłoni, druga dłoń,
nieważny kontekst pustych miejsc.

Aż kiedyś nas przyłapie dzień,
w którym powietrze straci smak.
I tylko spojrzę na twój cień,
i tylko ciebie będzie brak.

Chciałbym napisać wiersz,
piękny wiersz o miłości.
Gdzie będziesz ty, ja i drzewa,
gdzie słowik będzie śpiewał,
zawieje dla nas wiatr,
otworzy okno świat...



A życie trwa

Straciłem cię z oczu
na ulicznym rogu,
a ty ot tak
uciekłaś do grobu.

Żadnych pożegnań
i łez nie będzie,
tylko stosy kartek
pogubionych wszędzie.
Ach te słowa i słówka
jak dziarskie słowiki.
Ach przyimki, zaimki
do letniej muzyki.

A bal trwa
i trwać jeszcze będzie.
A ciebie tak pełno
choć pusto jest wszędzie.

Sopockie plaże
i morskie fale
czekają na ciebie
nieświadome wcale.
Ach te ptaszki, igraszki
jak z ostatniej fraszki.
Ach te dworce i wróżki,
śnieżnobiałe bluzki.

A muzyka gra
i grać jeszcze będzie.
A ciebie tak pełno
choć pusto jest wszędzie.

Ulica Kamienna
pusta dziś została
i amor szmaciany-
śpiewa Polska cała.
Ach nasze Małgoški
z popękanym sercem,
spocznijcie na chwilę
nad ostatnim wierszem.

A życie trwa
i trwać jeszcze będzie.
A ciebie tak pełno
choć pusto jest wszędzie.